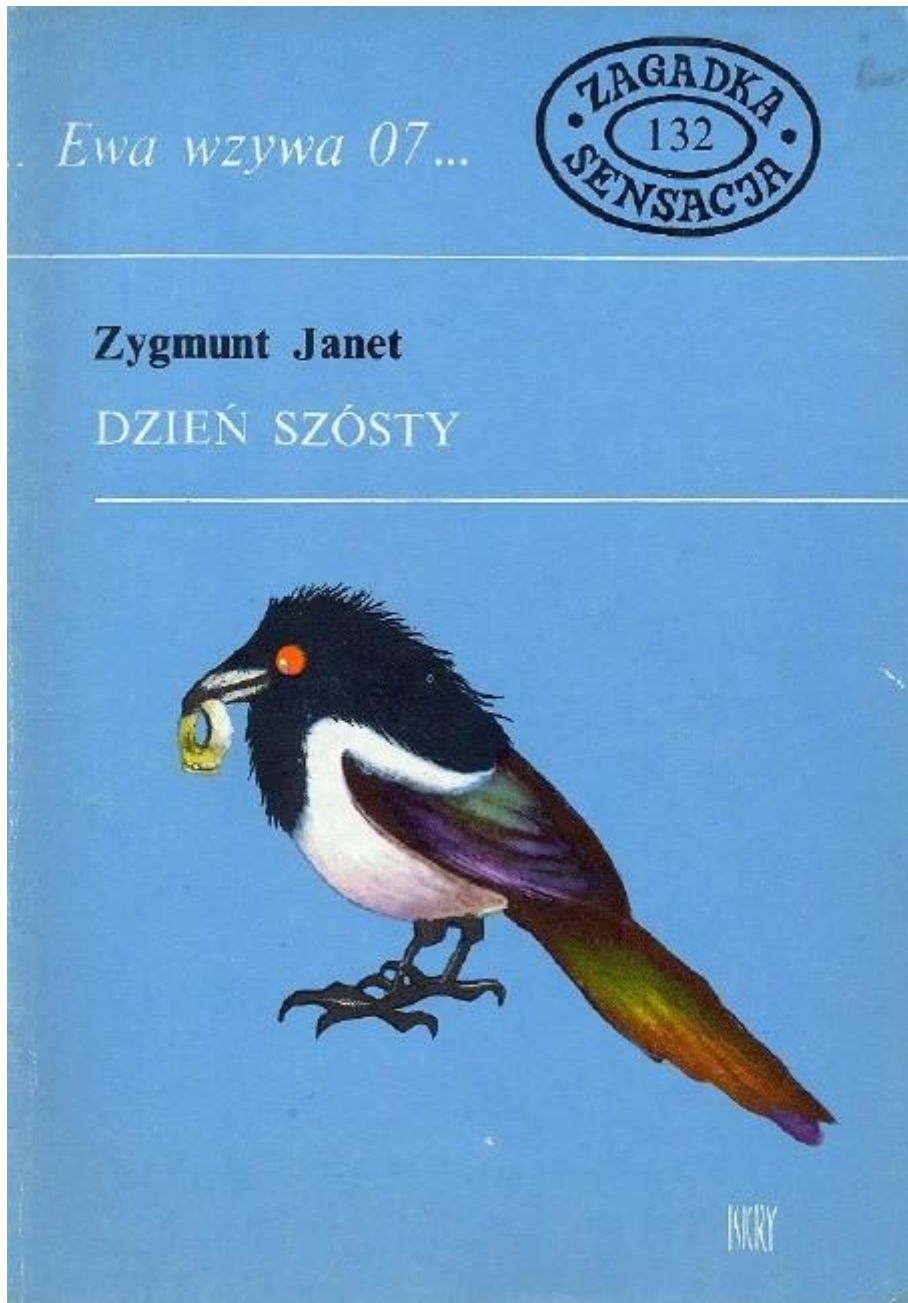


*Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...*

# Zygmunt Janet

## Dzień szósty

---



# PIERWSZE POPOŁUDNIE

---

W panującym upale czułem, jak wzdłuż grzbietu płynie mi powoli chłodna strużka potu. Spodnie kleiły się do ud. Podwiniecie rękawów nie chłodziło rąk wciśniętych w gumowe rękawiczki. Pozbawione dostępu powietrza dłonie pociły się, gdy dotykałem głowy ofiary.

Z tyłu czaszki wyciekło kilka kropel krwi, sklejjąc siwiejące włosy. Siną twarz z na wpół otwartymi ustami pokrywał kilkudniowy zarost. Obok głowy ciemniała na mokrej podłodze wielka plama.

Fetor, rozchodzący się po całym pomieszczeniu, wyraźnie wskazywał, że w chwili śmierci puściły zwieracze przyklejając trupa do podłogi. Na twarzy leżącego wypisane było całe dotychczasowe życie. Były łam litry wypitej gorzały, cwaniackie zmarszczki, lubieżny grymas ust, strach śmierci i powolne, stopniowe konanie. Jeśli ktokolwiek mi udowodni, że jest coś bardziej banalnego niż zabójstwo bazarowego handlarza, jestem gotów wypisać się z milicji.

Gdy przed godziną grupa operacyjna została powiadomiona o tym, że na Targówku zostały znalezione zwłoki handlarza kaszy, jaj i tego typu drobiazgów, wiedzieliśmy już dokładnie, czego możemy się spodziewać na miejscu. Zaskoczeniem mógł być tylko ten nie spotykany wieczorem cholerny upał.

Michał Wolański, dla nas „Płetwa”, odnalazł obdrapaną, międzywojenną czynszówkę. Smród śmietnika, brudne okna, z których wystawały upapilocone głowy przedwcześnie postarzałych kobiet, rozklekotane drewniane schody ciemnej klatki schodowej... Na piętrze jak zwykle niewielki tłumek najbliższych sąsiadów. W drzwiach młody dozorca, ściągnięty zapewne z podwarszawskiej wsi obietnicą mieszkania chełpił się, że przez kilka chwil był jedynym urzędnikiem śmierci. Patrząc, jak szarogęsił się pomiędzy szlafrokowe—kapci ową gromadką kobiet, pomyślałem przez chwilę, czy przypadkiem znowu nic trzeba będzie zbierać jego rzygowin, gdy ujrzy trupa.

—Skoro już pan tu jest, to prosimy do środka — starałem się być uprzejmy.

— Ja... — zgasł dozorca — ... po co? Ja tutaj tego... porządku, no... pilnuję...

— Potrzebny nam będzie świadek. Pchnąłem drzwi. Z hurkotem, trzaskaniem obcasami, dłonią przy daszku i wciągniętym brzuchem powitał nas w korytarzu znany ze swej służbistości kapral z dzielnicy.

— Obywatelu kapitanie, melduję zabójstwo obywatela: —Zielonka Zdzisław, lat 55, żonaty, dzieci nie ustalone, zamieszkały w miejscu...

—Którym? — spytałem łagodnie. — W którym, kapralu? Po cholere stoicie tu, a nie na zewnątrz...

— Obywatelu kapitanie, melduję, że zabezpieczałem ślady zabójstwa...

—Właśnie widzę wasz ślad w tej kałuży obok głowy. A teraz może pokażecie mi te inne, które zabezpieczyliście?

— Ja tego... — zaplątał się kapral — ...ja tu pilnowałem, żeby nikt nie wchodził.

— Dobrze — byłem cierpliwy — wy pilnowaliście, dozorca pilnował, a czy trup jeszcze leży? Gdzie jest kobieta. która nas wezwała?

— Melduję, obywatelu kapitanie, obywatelka Zielonka Aniela jest u sąsiadki w lokalu numer cztery na tym piętrze.

Do mieszkania wepchnął się z trudem zdyszany lekarz, a wraz z nim nasi technicy.

— Poczekajcie przed drzwiami — jęknął lekarz, któremu upał wypchnął na skroni żyły.

„Znowu pewnie popijał —pomyślałem — i znowu będzie się wykręcał sekcją zwłok, nie potrafiąc po-  
dać teraz nawet przybliżonej godziny śmierci”.

— Niech mi pan poda rękawiczki — poprosiłem i ująłem głowę trupa.

Pracuje od ponad jedenastu lat w sekcji zabójstw Komendy Stołecznej MO. udało mi się więc poznać doskonale cały zespół. Oczywiście nie zawsze pracowaliśmy w tym samym składzie. Byli różni. Tacy, co nie mogli patrzeć na trupa, tacy, których żony nie wytrzymały ciągłej nieobecności mężów w domu, ci, którym wydawało się, że mogą być Sherlockami i zepsuli wiele spraw; wreszcie tacy, którzy sądzili, że przy tej pracy pozostaną do końca nie zubożniętymi, zwykłymi ludźmi.

Ta grupa, która powstała w sposób naturalny, była inna. Wszyscy jesteśmy mniej lub bardziej samotni, tylko „Panience” udaje się jeszcze czasami pomieszkać w domu z żoną. Trupy, które oglądamy, już dawno przestały nas fascynować i straszyć. Nie jesteśmy już właściwie wrażliwi na cudzy ból i cierpienie. Zresztą to przeszkadza w pracy. Bardziej stajemy się — mimo upomnień szefa — urzędnikami śmierci niż mścicielami i orędownikami sprawiedliwości.

Zawód jak inne. Może tylko czasami trochę różny.

Krzysztof — rozwiedziony od kilku lat, choć mieszkający nadal z żoną, silny i — gdy trzeba — spokojny. Nigdy nie był wysokich lotów i prawdę powiedziawszy z trudem przebrnął przez maturę. Ciągłe spotkanie w swym życiu kobiety, które prędzej czy później go rzucają. Elegancki, pozornie życzliwie nastawiony do podejrzanych, w rzeczywistości konsekwentnie zmierzający do wydobycia najbardziej nawet ukrytych myśli. Metody pracy ma niekonwencjonalne. Na ogół jednak przynoszące skutki. Inne dla nas. inne dla podejrzanego. Nazywamy go „Niania”.

„Płetwa Michał — przy swoich blisko siu kilogramach wagi i czterdziestu pięciu latach nieprawdopodobnie szybki. Niejeden z naszych klientów miał okazję się o tym przekonać. Dla nas jest swoistą polisą ubezpieczeniową. Staramy się z jego usług nie korzystać, ale jeśli już tak się zdarza, i reguły ten, którym Płetwa się opiekował, zawdzięcza mu życie, żona dawno już z niego zrezygnowała. Żyją obok siebie rozmawiając kartkami przyczepianymi na drzwiach. Ale Płetwa wie, że gdy wróci, będzie na niego czekała kolacja.

Najmłodszy to Jacek, „Panienka”; choć żonaty od dwóch lat, nadal potrafi się zarumienić, co bezlitośnie wykorzystują dziewczyny z komendy, chichocząc później po kątach. Niedługo będzie już nasz do końca. Żona przebąkuje o rozwodzie. Niewiele jeszcze widział i jest najbardziej zapalony. Czasem trzeba go temperować, bo potrafi wejść w niebezpieczne sytuacje. Choćby się waliło i paliło, próbuje nadal z uporem godnym lepszej sprawy zawsze około szesnastej wyjść do domu. Rzadko mu się to udaje.

I ja. Nic jestem ani najstarszy, ani też najbardziej doświadczony. Ale do tej pory mi się udawało. Dlatego zrobiono mnie szefem tego zespołu. Gdy powinie mi się noga, zastąpią mnie bez chwili wahania kim innym. Bo zespół musi być skuteczny, po prostu musi. Nazywają mnie „Buldog”.

Wszedłszy do sąsiedniego mieszkania przede wszystkim zobaczyłem granatową, obcisłą bluzkę z napisem *Blue Jeans*, która zdawała się pękać, rozepchnięta monstrualnymi, godnymi Felliniego cycami, leżącymi niemal na tłustych, rozlanych udach równie ciasno opiętych poplamioną spódniczką, jaką noszą nastolatki. Ręce z trudem, jak mi się wydawało, mogły unieść złote pierścienie, obrączki i bransolety. Na krótkie, serdelkowate palce, z brudem wrośniętym w skórę, z całą pewnością nie zmieściłaby się już żadna ozdoba. Masywne, czerwonosine nogi obute były w lekkie brokatowo—złote sandałki. Głowa była uloczkowana. Twarz, w której wśród fałd tłuszczu z trudem można było dopatrzeć się nosa i oczu, była jeszcze dodatkowo opuchnięta od płaczu.

Miałem przed sobą panią Anielę Zielonkę.

Gdy mnie spostrzegła, bez uprzedzenia, bez schwycenia oddechu, bez jakiegokolwiek preludium, od razu wpadła w piskliwy, wiejski lament.

— O Jezu, Jezusie! panie śledczy! Taki chłop był dobry, uczciwy jak żaden. Nawet jak pijany, to nie bił, tylko kładł się do łóżka i spał. I za co to, Jezu. za co?...

— Co prawda, to prawda, pani Anielu zachrypiał z kąta chudy kobiecy szkielec, tak mizerny, że dopiero teraz zdałem sobie sprawę z jego obecności w pokoju. — Dobry to był człowiek, prawdziwy mężczyzna.

— Spokojnie, pani Anielu — nieoczekiwanie dla siebie samego przybrałem formę, jaką posługiwał się ten zmurszały kij od szczotki — jesteśmy tu po to, aby znaleźć tego, który zabił. Chciałem...

— O Boże, on tam już na sądzie Twoim i choć on pijak był, to ja nie mściwa i pomsty na nikim nie będę szukała...

— Muszę z panią chwilę porozmawiać o zmarłym. Nie wiem, czy chciałaby pani, aby ta rozmowa odbyła się tutaj, przy sąsiadce...

— A co tam. Czy pani Cuprowa to kto obcy? O Jezu, Jezu, za coś Ty mnie tak pokarał, za co?!!

Przez chwilę nie wiedziałem, czy mówi o nieszczęściu, jakie ją spotkało, czy też o nieszczęściu sąsiedowania z panią Cuprową. Ale z tego, że przyjęła skwapliwie chustkę, podsuniętą przez chudą wiedźmę, domyśliłem się, że jednak chodziło jej o śmierć męża. Taki już jestem bystrzak.

—Niech pani powie, o której godzinie wróciła pani do domu.

— Panie (chlip) czy ja to pamiętam? (chlip) Jak tylko stragan zamknęłam (dwa chlipnięcia) prosto do domu przyleciałam. Bo Zdzychu był bez obiadu, tylko parę pyz zjadł, jak przyszedł do mnie w południe,...

I pewnie wspomnienie tych pyz tak ją wzruszyło, że rozryczała się.

Było gorąco mimo otwartych okien. Brzydka, brudna, przedwcześnie postarzała kobieta zanosila się płaczem hałaśliwie pociągając nosem. Patrzyłem, jak kolebie się bezsilnie do przodu i tyłu pamiętając te pyzy. Pyzy, które jeszcze w południe jadł Zdzychu. śmierć nie jest nieszczęściem dla tych, którzy umierają, lecz dla tych, którzy pozostają. Brzydziłem się tą babą i współczułem jej jednocześnie.

— Tak, pani Anielu — próbowałem przerwać jej lament — a czy drzwi były zamknięte na klucz, jak je pani otwierała?

— Panie, czy ja to wiem? Ja już nic nie wiem, o Boże, za co ta krzywda, chłop był taki dobry dla ludzi, żadnych wrogów nie miał. Za co. Boże, za co?

— Obywatelu kapitanie...

Zawsze lubiłem przeogromnie, gdy Panienka zwracał się oficjalnie. Stał pewnie od kilku chwil w drzwiach mieszkania przyglądając się mym zmaganiom z panią Zielonką.

— Lekarz chce już wyjść. Można pana na chwilę?

— Proszę się zaopiekować panią Aniela — spojrzałem na sąsiadkę. — Jak tylko tam skończymy, poproszę ją jeszcze raz na rozmowę.

— Dam jej kropelek — zagałgotała ochryple plwocinami. — To jej dobrze zrobi.

Cofnąłem się czując nie przetrawiony alkohol.

— Tylko nie za dużo, pani Cuprowa, nie za dużo.

Na podłodze w korytarzu widniał już tylko kontur obrysowany kredą. Lekarz związał swój majdan. Dozorca, ta najważniejsza osoba na klatce, opuścił nas zostawiwszy — tak jak przypuszczałem ślady swej bytności na podłodze łazienki pani Zielonki. Zza drzwi dobiegał mnie jedynie jego po pijacku ochryply głos: „To na pewno ten z parteru, słyszałem, jak ze sobą rozmawiali...”. Jak zwykle niedługo cały dom będzie wiedział, kto zabił. Tylko my będziemy grzebali się ze śledztwem.

— Panie doktorze, niech się pan tak nie spieszy, już i tak nie zdąży pan do tej napoczętej ..połówki”.

— Masz jakieś pytania. Buldog?

— Jedno, nieśmiertelne — usiłowałem jednak coś z niego wydusić. — Jaki czas zgonu?

— Po sekcji.

— Dobrze, dobrze, ale zgodzisz się, że było to około południa, jakieś cztery do sześciu godzin temu?

— Po sekcji, kochany, wszystko po sekcji. Powiem ci dokładnie jutro.

— A czy przynajmniej wiesz, doktorku, jak go załatwiono?

— Czego dusisz, musisz poczekać. On — machnął ręką w kierunku miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą leżał trup — może też był duszony? Ale równie dobrze mógł umrzeć na zawał albo z tęsknoty za żoną. Jutro, pojutrze powiem ci wszystko. A teraz już wydalłam się — trzasnął drzwiami.

— Długo jeszcze? — zwróciłem się do krzątającej się ekipy.

— Pokój już skończyliśmy. Została kuchnia, łazienka i przedpokój — powiedział technik.

— To co? Mogę pogadać tu z panią Zielonką?

— Nic nie stoi naprzeciw.

— Płetwa, daj no ją tutaj.

— Już się robi. Zaraz ci przyprowadzę mamuszkę — zerwał się z wersalki, gdzie kontemplował z prawdziwym zadowoleniem kółka dymu, które nauczył się robić kilka dni temu i teraz palił, trenując, jednego papierosa za drugim.

Po chwili wrócił. Wielki, zwalisty, delikatnie i chyba po prostu czule prowadził przed sobą żonę zamordowanego. Ta spoglądała przez chwilę na kredowy zarys postaci, na ciemniejący płamę w miejscu, gdzie leżała głowa. Przelknęła głośno ślinę i nieruchomo usiadła na brzeżku wersalki, patrząc w okno.

— Pani Cuprowa pomogła trochę? — zainteresowałem się. — Możemy teraz porozmawiać?

— Możemy — powiedziała cicho, nic odwracając wzroku od okna, — Cały czas widzę, jak jadł te pyzy, jak mu smakowały...

Poczułem, jak w gardle rośnie mi jedna wielka, wszechogarniająca pyza. Otrząsnąłem się.

— Niech pani się uspokoi.

— Ja jestem spokojna.

— To proszę nam powiedzieć w takim razie, czy coś zginęło z mieszkania. Proszę się rozejrzeć. Poszukać, co tam gdzie pani miała schowane. Przecież jak zabili, to po to, aby coś z tego mieć. Musimy wiedzieć, czy coś ukradli...

Dotarło. Spojrzała na mnie swymi małymi, ukrytymi w tłustych policzkach oczkami. Chwilę milczała.

— Okradli?! Okradli, pan mówi? Co ukradli?! — podniosła głos do krzyku. — Bandyci! Pan powie, co ukradli!

— To pani musi nam właśnie to powiedzieć. To dla nas bardzo ważne.

Przymilkła. zaciskając nerwowo serdelkowate palce. Oczy, w których przed chwilą były łzy. gwałtownie zaczęły biegać po pokoju. Było tu wszystko, co można znaleźć w przyzwoitym, porządnym domu na Targówku. Na prawo od wejścia stała wersalka nakryta kapą. na której leżała sterta poduszek, u szczytu ozdobiona lalą. ubraną w pstrokaty strój krakowski. Wyżej bezradnym ruchem rozkładał ręce Chrystus, wpatrzony w nie zmytą jeszcze plamę krwi w przedpokoju. Obok, pod ścianą, ogromne lustro, w którym przeglądały się poprzewracane teraz szklane łabędzie. Dalej szafa. Naprzeciw kolorowy telewizor z serwetką i porcelanowym bykiem, a później stół na wysoki połysk i krzesła. Oczy pani Zielonki biegały od szafy do tapczanu, od tapczanu do szafy, usta coś meły, bezgłośnie żuły, twarz czerwieniała. Po chwili wzniosła oczy ku sufitowi i tak zastygła bez ruchu, spocona, czerwona na twarzy, przerażona.

— Pani Anielu, pani Anielu — powtórzyłem, chcąc już wzywać karetkę pogotowia. Zawał jak nic. Dotknąłem jej ręki.

— Tam!!! — ryknęła. — Tam były pieniądze!!! — wrzeszczała nie przestając gapić się w sufit.

Zglupiała mamuska, czy co? Sufit forszą tapetowali?

Podniosłem wzrok i dopiero teraz zorientowałem się, że pani Aniela wpatruje się w staroświecki żyrandol, wieńczący środek sufitu.

Technicy rzucili się jak sępy.

— Proszę, proszę, jak to się panowie ożywili. Jak nowicjusze. Nie wiecie, że ludzie mają sejfy w żyrandolach?! Płetwa, przestań z tymi kółkami, pomóż.

Pani Zielonka stała w bezruchu wpatrując się w jeden z abażurów.

— Panie, ukradli, wszystko ukradli... Widziałem po pani Anieli, że już nie nieboszczyk mąż stał przez jej oczyma.

— A co ukradli? — zapytałam.

— Jak to co?! Pieniądze, panie, pieniądze, świnki złote, dolary, łańcuszki, pierścionki — wymieniała jednym tchem.

— Powolutku, powolutku, zacznijmy od obrączek. Jakie one były? Czy takie zwykłe?

— One? To były zwykłe, a jakie miały być, przecie to na lokatę...

— A pierścionki? — próbowałam szczęścia. A nuż jakiś był charakterystyczny? Wreszcie wiadomo by było. czego szukać. — A pierścionki? — powtórzyłam.

— Ruskie, o takie — pani Aniela pokazała swoje upierścienione ręce. — Panie, taki majątek, łapcie ich, wdowę okradli!

— Ja muszę do żony — rwał się Panienska. — Dajcie zadzwonić.

— Jacusiu, chyba będzie musiała sobie znaleźć na najbliższe dni jakiegoś gaszka — poddrażniał Niania. — Nie wyrwiesz się stąd.

— Niania on cierpi — mitygował Płetwa.

— Bez baby będziesz szybszy w robocie — dodałam.

— Ale głupszy — dorzucił Niania.

— Elżbieta?! Mamy zabójstwo na Pradze. Tak, tak kochanie..., Jesteśmy już na dzielnicy... Tak... jak zwykle... wiesz przecież, że potrwa to dwa, trzy dni. Potem przyjadę... Kocie, bądź cierpliwy — skamlał w słuchawkę — przecież robimy, co możemy, ale to zawsze trwa. Tak... będziemy tu do końca. Znasz ten telefon?... Dzwon, gdyby coś się stało... Tak. tak... Kocham ciebie. Opiekuj się Małgosią...

Bądź cierpliwa... Każdy z nas kiedyś mówił te słowa swojej kobiecie. Każdy z nas kiedyś taką miał. Teraz już nie.

— No, to kto go załatwił, kto ukatrupił naszego Żdzicha? — zadałam retoryczne pytanie. Stawiałem je zawsze, gdy po oględzinach zwłok zasiadaliśmy wreszcie we czterech w jakimś pokoju jakiejś kolejnej komendy. Tym razem pokój, który przez pewien czas będzie miejscem naszej pracy, sypialnią, jadalnią — był gabinetem komendanta dzielnicy. Pierwsze meldunki i pierwsze osoby, których trzeba będzie „słuchać” zacząną do nas napływać za jakieś pół godziny. Wszystko jak zwykle. Komenda, mimo że już dziesiąta wieczorem, znów zapelniała się funkcjonariuszami. Tu, najbliżej miejsca zbrodni, wśród ludzi, którzy znali ofiarę — łatwiej jest złapać pierwszy ślad. Morderca przecież myśli. Rzadko traktujemy go jak wroga, częściej jak przeciwnika. Przeciwnika, któremu czas daje coraz to większą przewagę. Im dłużej trwa śledztwo, im dłużej szukamy jakiegoś punktu zaczepienia, tym łatwiej jest mu uciec, zatrzeć ślady, zniszczyć dowody. Czas, czas pracuje zawsze przeciw nam. Dlatego te pierwsze godziny są takie ważne. Łatwo, bardzo łatwo jest wtedy popełnić błąd i skierować śledztwo na ślepy tor — To często wystarczy. To daje szansę człowiekowi, któremu tej szansy dać nie chcemy. Musimy tego, którego nie znamy, o którym nic nie wiemy, postawić w niewygodnej sytuacji. Tak. aby sam przyszedł do nas albo popełnił błąd. Wtedy go dostaniemy. Po to

tu jesteśmy. Jeśli teraz nie popełnimy błędu, dostaniemy mordercę w ciągu najbliższych godzin lub dni. Jeśli tak się nie stanie, dostaniemy go za kilka tygodni albo leż w ogóle nie dostaniemy.

Dlatego Panienska nie pójdzie do domu. dlatego dyżurny szykuje nam już kolację i kawę. Może Płetwa osiągnie perfekcję w swych papierosowych kólkach, może Niania się zmęczy i przestanie swym zwyczajem krążyć po pokoju. Może ja będę miał coś do powiedzenia szefowi.

Ale dostaniemy mordercę. Każdy z nas teraz w to wierzy. Od tego po prostu jesteśmy.

— Płetwa, czy zarządziłeś, aby ściągnęli dzielnicowego? Od niego trzeba zacząć. Może uchylili nam rąbka tajemnicy o życiu prywatnym państwa Zielonków?

„Znowu — pomyślałem — mówię to, co zawsze. Tylko nazwiska się zmieniają”.

—Dzielnicowy już czeka — przerywając robienie kawy poinformował dyżurny.

—Dobrze. Niech chwilę poczeka. Chłopcy, cała wasza trójka zaczyna od sąsiadów, gdy tylko ich dowożą. Znajdźcie sobie jakieś pokoje. Ja pogadam z dzielnicowym.

— A kto przyniesie piwo? —smutno zapytał wychodząc Niania.

Przez pozostawione przez niego lekko uchylone drzwi wsunęła się do pokoju długa, wąsata postać dzielnicowego Adamiaka.

— Dzień dobry, panie Leopoldzie — wyciągnąłem rękę. — Znowu się spotykamy. Sukces, bo dopiero trzecie zabójstwo w tym roku na pana terenie.

Sierżant Adamiak wpierył mi rękę swą obtatuowaną dłonią, a później patrząc mi niezmiernie smutnie w oczy powiedział:

— Nie lubię hien. Zawsze, gdy tu jesteście, śmierdzi mi padliną. I jak zwykle niczego nie wiecie. Ale stary Adamiak wam powie. Błyskawiczne, łatwo dostępne nawet o jedenastej w nocy — tu z wyrzutem spojrzął na mnie — tanie biuro informacyjne Adamiaka. Zawsze do usług. Tylko że sukcesy odnosicie wy, a orze Adamiak. Was chwała, a Adamiak spokojnie na dzielnicy dożywa swoich dni. No, Buldog, nie miej skrupułów! Wal śmiało.

— Chcę wszystkiego. Chyba nie muszę ci mówić, co nas interesuje. Jak żyli. z czego, czy tylko z bazaru, może masz na składzie jakieś historie łózkowe, wiesz, jak ich chętnie słucham, co z dziećmi, w jakim środowisku się kotłują, czyli po prostu oczekuję od ciebie adresów, kontaktów, telefonów, pseudonimów.

posłuchaj. Buldog. Już to wszystko specjalnie dla ciebie wytrząsam z rękawa. Jak będziesz chciał, mogę stamtąd wyciągnąć królika albo gołąbka. Taki sztukmistrz jestem. Dla mnie to mięta z bobem. Nie wiem o nich prawie nic prócz tego, że byli chyba najszczęśliwszą rodziną w Warszawie.

„O. Boże — pomyślałem sobie. Poldziu nie był człowiekiem, który mówił cokolwiek, czego nie był w siu procentach pewien. A że zbeczelniał na wstępie, to tylko dlatego, że wie dużo”.

— Niedawno przeprowadzili się do tej rudery z rozwalającej się chałupki na Bródnie. Rozumiesz? Miasto dawało im mieszkanie w nowych, czystych blokach, z windą, zsympem na śmieci, karaluchami i tak dalej, ale oni woleli tutaj. W brudzie, smrodzie, wśród swoich. Dostali mieszkanie. Pokój z kuchnią. Zyskała na tym wszystkim córeczka, której udało się przy okazji wynieść od ukochanych rodziców i dostać oddzielne mieszkanie po drugiej stronie Wisły. Ale sam rozumiesz, że to równa się niemal zdradzie ojczyzny. Zresztą Zielonkowie chcieli, żeby ona do czegoś doszła,



żeby nie handlowała jak oni, na bazarze. Pilnowali jej, żeby się uczyła. Z tego, co wiem, studiuje. Chyba na uniwerku lub ASP. Głowy nie daje.

— Rozczulasz mnie. Poldek — wtrąciłem.

— W tym domu liczyła się zawsze tylko forsa — kontynuował nie zwracając na mnie uwagi. — Oboje byli przekonani, że za pieniądze można wszystko. Ta buda na bazarze to oczywiście tylko przykrywa do prawdziwych — zresztą bardzo rozległych — interesów starego. Czego nie można było przez niego załatwić... Wszystko, co tylko chciałeś. Ostatnio doszedł do tego, że mógł już nie bawić się w małe kanty i paserstwo i zaczął na poważnie zajmować się handlem walutami, i to na duży skalę. Na Zachód płynęły skupione w Polsce dolary, a stamtąd na podstawionych emerytów lekarstwa, końcówki do flamastrów i długopisów, spodnie, akcesoria samochodowe. Można z tego żyć. Wiesz, jeszcze nie rekin i nie gruba ryba, ale dobry pływak...

Do pokoju wsunął się Niania dzierżąc w swych delikatnych dłoniach butelkę piwa.

— Piwo to nawet spod ziemi wydobędziesz, ale czy coś wydobyłeś z sąsiadów? — spytałem, wyciągając rękę po butelkę. Dość niechętnie mi ją oddał.

— Przesłań kpic i pastwić się nad podwładnymi. Oczekujesz pewnie ode mnie wiadomości, czy ktoś na przykład ta młoda brunetka z czwartego piętra, w którą wlepiłeś swe głodne ślipia widziała mordercę z zakrwawionymi rękoma. Miałbyś pretekst, aby z nią bliżej porozmawiać nic tylko w komendzie.

— Nie zbaczaj z tematu — przypomniałem sobie rzeczywiście niekiepską dziewczynę, której spokojny urok wśród rozhisteryzowanych bab uderzył mnie na klatce schodowej. Powiedz, co ustaliłeś?

— Nic. Nikt obcy po okolicy się nie pętał, a jak się pętał, to nikł go nie widział — w rękę Niani nie wiadomo skąd pojawiła się druga butelka piwa.

— No, nareszcie ktoś pamiętał o mnie — Adamiak zręcznie wyłuskał piwko z ręki Niani. — Dziękuję ci uprzejmie — powiedział nie zwracając uwagi na rozdrażnienie przymusowego ofiarodawcy.

— To ostatnia — wykrztusił wściekły Niania.

— Tym bardziej będzie mi smakowało — odrzekł nie speszony dzielnicowy.

— Mów dalej, Poldek — powiedziałem.

— Teraz o mamusce. Tak ją nazywa nie tylko Płetwa. Chyba w okolicy wszyscy wiedzą, że o Zielonkowej mówi się „mamuśka”. Kiedyś handlowała wódką, ale ten okres ma już za sobą. Obecnie jej buda na bazarze służy przede wszystkim jako punkt kontaktowy dla interesantów męża. A teraz coś dla ciebie. Buldog. Otóż nasza podfruwajka Anielka, która w rzeczywistości dobiega już pięćdziesiątki, ma swego ukochanego — popatrzył, jakie to zrobiło na mnie wrażenie, a że milczałem, mówił dalej;

— Ukochany ma około trzydziestki. Jeździ groszkowym fiatem 125p. Ma młodszą od siebie żonę, która pracuje jako lekarz w praskim szpitalu. Sam jest inżynierem architektem. Zawsze gdy pan Zdzych wyjeżdżał za interesami, inżynierek zjawiał się u pani Anieli. Sąsiedzi mi mówili, że muzyka, że pani Aniela pięknie śpiewa przy takich okazjach, że przez firankę widać czasem, jak nago tańczą. Ten inżynier to dewiant, bo raz, że ze znacznie starszą od siebie, a dwa, że baba brudna, brzydka i wulgarna. Ale widać taki jego gust. Trafiłem go kiedyś, gdy wsiadał do samochodu. Myślałem, że po tak upojnej nocy ma w sobie parę kielichów. Ale nic takiego. To pani Aniela, aby złapać humorek, musi sobie rąbnąć. Inżynierek robi to

wszystko na trzeźwo. Ma dwoje dzieci, a żona — przynajmniej sądząc po zdjęciu, które miał razem z kartą wozu — jeszcze niejednemu by się spodobała. Ale on woli panią Anielę.

— Chryste — jęknąłem wyobrażając sobie roznamiętnioną Anielcię.

— Co chcesz, są gusta i guściki.

— Dzwoni jakaś obywatelka Cuprowa i upiera się, że koniecznie musi rozmawiać z obywatelem kapitanem — dyżurny wsadził głowę przez drzwi.

— Przełączcie ją.

— Uważaj. Bulldog, na Cuprową — skrzywił się Adamiak — bo zagada cię na śmierć, jest pod tym względem gorsza ode mnie.

— Słucham, kapitan Paweł Rukat... Wszystko panie przejrzały?... Tak. rozumiem i co zginęło?... Zaraz, zaraz, może jest obok pani Zielonka, proszę mi ją dać do telefonu... Dobry wieczór, pani Anielu. Więc czego nie ma? — podsunąłem sobie notes... Rozumiem: pierścionek z zielonym, niebieskim, czerwonym (Boże. pomyślałem, ile jeszcze może być kolorów kamieni). Ile pieniędzy? Sto osiemdziesiąt tysięcy? Złoty? tak?... Złote świnki? Ile?... I jeszcze jeden pierścionek? Jaki on był?... Acha. turecki, jaki turecki?... Pani Anielu jest tego tak dużo, że przez telefon się nie dogadamy, zaraz przyjedzie po panią kapitan PI... — ugryzłem się w język ...kapitan Wolański... Tak. może z panią przyjechać pani przyjaciółka Cuprowa. ale od razu mówię, że będzie musiała poczekać — zrobiłem oko do Adamiaka, ten kiwnął aprobowująco głową.

Nie odkładając słuchawki połączyłem się z dyżurnym.

— Wyślijcie natychmiast samochód po rysownika... No to co, że pierwsza w nocy! Wyciągnijcie go z betów. Zaraz musi być tutaj.

Wstałem odkładając słuchawkę.

— Dziękuję ci. Poldek, za wszystko. Daj Niani namiary tego pieszczocha Anielci. Krzysztof, przywlecz go tu za łeb. Tylko nie wdawaj się w zbędne dyskusje z rodziną, żeby mu nie narobić krzywości.

Chyba ruszyliśmy z martwego punktu. Otworzyłem drzwi.

— Dyżurny, przekazcie kapitanowi Wolańskiemu, żeby przerwał przesłuchania i natychmiast jechał po obywatelkę Zielonkę. I przyslijcie do nas porucznika Jacka Kreubitnera.

— Krój... co panie kapitanie?

— Kreubitnera. sierżancie. Kreubitnera. Tego młodego z naszej ekipy. No, Panienkę.

— Trzeba tak było od razu — mruknął dyżurny. — Już się robi.

— Pali się? — spytał wchodząc Jacek. — Akurat dowiedziałem się od jednego dziecięcia z trzeciego piętra, że około trzeciej po południu widział on na podwórku kominiarza i pogotowie.

— Kominiarz — rzuciłem — to szczęście dla tego faceta, nie dla nas.

— Pogotowie sprawdziłem — było u dziadka w oficynie, bo dostał zaparcia i bolał go brzuch. A kominiarza nikt inny nie potwierdza. Jutro się sprawdzi w spółdzielni kominiarskiej.

— To ty to jutro z samego rana sprawdzisz.

Pani Zielonka, która wkroczyła do naszego pokoju w komendzie, to była już zupełnie inna kobieta niż ta, którą widziałem kilka godzin temu w jej mieszkaniu. Jeansowa bluzeczka, młodzieżowa spódniczka i złote sandały zostały zastąpione głęboką czernią. Wraz z panią Anielą do pokoju wtargnął zapach naftaliny z szafy jej i jej najbliższych przyjaciółek. Tylko ręce były tak samo brudne i niechlujnie pomalowane.

Podszedłem do niej, aby podprowadzić ją z należytą estymą do krzesła. Siadła ciężko splatając dłonie na podolku.

— Zrujnowali mnie. Nic już nie mam. Całe życie poszło na marne. Tyle pracy. Tyle starania. Wszystko ukradli.

Nie mówiła już o zamordowanym mężu. Adamiak miał rację. Liczyła się tylko forsa.

— Zawiadomiła pani dzieci?

— Tylko jedną córeczkę mieliśmy. Studentka, artystka z niej będzie. Dzwoniłam, nie ma jej jeszcze w domu. Pewnie się uczy u koleżanki. Biedactwo, sierotą zostało.

— Mówiła pani — zmieniłem temat — że dużo tego było. Ale jak zrozumiałem — większość to tylko fabryczna sztancówka i pieniądze. Przez telefon powiedziała pani, że jeden pierścionek był znaczny. Określiła go pani jako turecki. Jaki on był?

— Ciężki, wysoki, taki z kamieniem. Samego złota w nim było ze dwanaście gramów. A kamień też się liczy, no nie?

— No dobrze, ale dlaczego niby miałby to być turecki?

— Policzyć wystarczy, panie kapitanie. Teraz gram kosztuje prawie dwa tysiące. To ile samo złoto było warte? Ponad dwadzieścia tysięcy. A robota?

— Ale co, z Turcji go pani miała?

— A gdzie tam, ja nigdy nigdzie nie wyjeżdżałam. Tylko Magda jeździła i ten pierścionek to jej kolega przywiózł z zagranicy, żeby mu się podróż wróciła. Był taki z księżycami.

— Z iloma?

— Z dwoma. I takie coś pośrodku.

— Dobrze go pani pamięta?

— Jakżeby inaczej. Miał być Magdzie na jej ślubie dany dla dziecka, jakby było, gdy dorośnie. Ale ona jeszcze panienka.

— Pani Anielu, wie pani co? Jest tu nasz specjalista rysownik. Proszę, niech pani w sąsiednim pokoju dokładnie mu go opisze, a on to narysuje, żebyśmy dobrze wiedzieli, jak ten pierścionek naprawdę wyglądał. Dobrze?

— A gdzie ten artysta? — spytała z zaciekawieniem Anieli.

— Porucznik panią zaprowadzi, żeby nam pani tu nie zabłądziła.

— O, tam, panie kapitanie. Toż to moja komenda. Znam ją, jak własny stragan. Ale zaprowadź mnie. Chłopcze, zaprowadź — poprosiła Panienkę, który swoim zwyczajem oblał się rumieńcem.

— Buldog, zdaje mi się, że mamy naszego pierwszego klienta — powiedział wchodząc Niania.

— Co jest?

— Pod domem naszego kochasia — dla jasności: nazywa się Edmund Brycz. Mundzio bynajmniej, rozumiesz? — spotkałem naszych z Batalionu Pogotowia, którzy zostali wezwani do „domowej”. Okazało się, że nasz Mundzio załapał się w trupka, wrócił do domu. a jak żona, ta lekarka, nie chciała mu dać pieniędzy na dalszą wódkę. skłął ją. pobił i razem z dziećmi wyrzucił na klatkę schodową. Taki przyjemniaczek. Mundzio — damski bokser.

— I co?

—Kapitanie — jęknął Niania, który miał słabość do kobiet. — Żebyś zobaczył tę jego żonę... Niewysoka, szczupłutka... Z daleka wygląda na 18 lat.

— A z bliska?

—Na tyle ile ma. ze trzydzieści, trzydzieści parę. Skurwiel rozbił jej nos, stała taka bidula w przezroczystej koszuli nocnej...

—Mów krócej, zabraliście go?

— Jasne, ale trzeba było drzwi wyłamywać— A ta jego żona. jak to baba. zaczęła płakać, gdzie go zabieramy, podawać mu ubranie, bo był w samych tylko gaciach, a on ją jeszcze sztorcował, że mu skarpetki do fontazia nie pasują. Kolorystycznie— skrzywił się z niesmakiem.

— Żona złożyła skargę?

— Powiedziałem jej, że może to zrobić, ale ona chyba nie bardzo jest do tego skora. W każdym razie pan Mundek zatrzymany jest za zakłócenie spokoju. Chyba nam to na rękę?

— Niania, nie ekscytuj się, weź Płetwę i przyprowadźcie tego chojraka. Będziemy go słuchać we trzech i jedziemy ostro.

Pan Brycz wszedł godnie z miną człowieka znieważonego.

Przez drogę wyraźnie wytrzeźwiał, tylko chuch miał wieczorny. Ubrany był mimo przeżytych przygód i trzeciej nad ranem z wyszukaną elegancją i dbałością.

— Proszę mi natychmiast wyjaśnić, dlaczego w tak brutalny sposób zostałem wywleczony z domu i dowieziony tutaj?

Niania spytał spokojnie:

— Pobił pana ktoś?

— No, nie...

— Ale może pana pobić — Niania ciągle jeszcze widział żonę inżyniera.

— To są groźby. Tak nie wolno,

— Nie wolno, ale można. Nikt nam nie udowodni, że się nie przewróciłeś i nie rozbiłeś sobie mordy.

— Jak to... jak pan śmie — próbował jeszcze nadymać się pan Mundek.

— Niech pan podejdzie do biurka — odezwał się. — Potrzebne są nam pańskie odciski palców.

— Moje? Po co?

— Nie dyskutuj — warknął Płetwa. — Nic słyszałeś co powiedział kapitan? Dawaj rękę — popchnął go lekko w stronę biurka.

—Ależ... panowie, o co mnie podejrzewacie? Co się stało?

— Nic się nie stało. My nigdy nikogo nie podejrzewamy. My wiemy. A teraz po prostu chcemy mieć twoje odciski.

Bezwolnie, jakby w dalszym ciągu nic nie rozumiejąc Mundek odcisnął palce. Uprzejmy Płetwa pomagał mu przyciskać paluszki, zadbane, czyściutkie, z równo, krótko obciętych paznokciami.

— Gdzie masz turecki sygnet? przyszło mi do głowy całkiem nieuzasadnione pytanie.

—Jaki sygnet? Nigdy nie miałem tureckiego sygnetu zdziwienie pana Brycza wydawało się prawdziwe.

— Taki z półksiężycami. Kamień oprawiony w wysoki koszyczek.

—Chyba Ostoja? spojrzał lekceważąco Mundek,

— Kto to? — wyrwało się Niani.

— Tak — powiedziałem szybko — chodzi nam właśnie o sygnet z herbem Ostoi. Co z nim zrobiłeś?

—Ależ, panowie, nie rozumiem, o co chodzi. Przecież żona nie może mnie o to oskarżyć! Miałem kiedyś taki sygnet, ale dałem go w prezencie.

— Komu?

— Czy to nie wszystko jedno?

—Może jest ci wszystko jedno, ale pamiętaj, że za zabójstwo możesz dostać w czapę.

Mundek zerwał się z krzesła raptem pobladły, przestraszony.

— Siadaj na miejscu i nie fikaj — ścisnął go za ramię Płetwa popychając w kierunku krzesła. Zanim powiesz, zawsze możesz dostać w mordę. Mnie tam nie zależy.

— Komu go dałeś? — spytałem.

— Jednej mojej znajomej.

— Komu. lalusi, komu? — Niania dosunął gwałtownie krzesło z panem Mundkiem do biurka. Mundzio, któremu nagle zabrakło powietrza, złapał się obiema rękami za blat i lekko się odsunawszy, niemal krzyknął:

— Magdzie. Magdzie go dałem!

— Nazwisko, adres..

— Nie znam adresu, mogę powiedzieć, gdzie to jest. Nazywa się Zielonka, Magda Zielonka, mieszka na Krakowskim Przedmieściu niedaleko świętej Anny, w podwórku. Na trzecim piętrze po lewej stronie. Mieszka tam sama — rozgadał się przestraszony dewiant.

— Jak się nazywa? — spytałem z niedowierzaniem. — Powtórz no jeszcze raz.

— Magda Zielonka. Przecież mówię, jak jest, panowie.

— Poczekajcie chwilę — powiedziałem do Niani i Płetwy wybiegając z pokoju! W sąsiednim pani Aniela uwodzicielskim głosem tłumaczyła spłoszonemu tą sytuacją Paniencie i rysownikowi zawilości ornamentu kolejnego pierścionka.

— Poruczniku, pozwólcie — wyciągnąłem Panienkę.

Gdy zamknął za sobą drzwi i spojrzał na mnie pytająco, dodałem:

— Słuchaj. Mamuśka musi. rozumiesz?, musi wam dokładnie opisać całą swoją biżuterię. Niech siedzi tutaj z tym... artystą do rana i rysuje.

— Już jest rano — westchnął Panienska.

— Nie szkodzi, musicie siedzieć do skutku. To bardzo ważne. Wszystko dokładnie, choćby tu miała zasypiać.

— O co chodzi?

— W żadnym wypadku pani Zielonka nie może teraz skontaktować się z córką. Macie ją zajmować, jak tylko długo się da jasne?

— Co robić? Ale myślałem, że może mi się uda nad ranem wyrwać choć na chwilę do domu...

— Wybij to sobie z głowy. Niestety. Panienska, nie da rady — łagodziłem.

— Trudno skonstatowałem ze smutkiem i wrócił do pokoju, gdzie czekała na niego niecierpliwie nasza mamuśka, rozpustna Aniela.

Gdy tak patrzyłem na jego z nagłą przygarbione plecy, poczułem, że w gruncie rzeczy zazdroszczę temu smarkaczowi, który jednak stara się, aby gdzieś tam w domu jego Elżbieta miała go chociaż na chwilę. Poczułem, jak wzbiera we mnie wściekłość na tego Mundzia, który lał swoją żonę. Kozaka na stare baby. który widać nie potrafi własnej zaspokoić i musi się sprawdzać ze starymi kopciami.

— ... więc zaraz po wyjściu z pracy... — skłamarzył pan Brycz odpowiedź na jakieś kolejne pytanie Płetwy czy Niani.

— Przestań, do cholery — siadłem na biurku obok przyciśniętego doń krzesłem Mundzia. — Powiedz po prostu, dlaczego zabiłeś Zdzisława Zielonkę.

— Ja?... — wycharczał.

— Tak, ty. No, czekam. Po prostu zwyczajnie powiedz, jak to zrobiłeś i dlaczego. I ddamy ci spokój: My też już jesteśmy zmęczeni.

— Panowie — błagał — panowie...

— Nie panuj nam tu za bardzo. Sypiałeś ze starą Zielonką, dałeś jej córce pierścień z Ostoją. Ten pierścień zginął z. mieszkania po zabójstwie. Gadaj, dlaczego, to zrobiłeś i jak? Mam już tego dosyć. Nie mam ochoty bawić się z tobą w ciuciubabkę.

— Daj nam żyć — dorzucił Płetwa: — Po co się mamy z tobą męczyć.

— Powiem wszystko, co panowie chcecie, ale nie zabiłem, nie zabiłem! przechodził w krzyk. — Nie zabiłem — rozpląkał się.

—Gówniarz — skonstatował Niania. — Przestań się mazać!.. Powiedz po prostu, skąd znasz Zielonkę i po kolei wszystko, jak było.

— Nie znam żadnego pana Zielonki, nigdy go na oczy nie widziałem — skamlał dalej.

— Ale to ci nie przeszkadzało zabawiać się z jego żoną?

— Z Anielą?

— Tak, tak właśnie z. Anielą.

— A co. nie można?! — rozkręcił się nieoczekiwanie. — Żebyście tak, panowie, wiedzieli, jak jest naprawdę. Żebyście tak po nocach spali obok baby, której nie możecie dotknąć, która jest zawsze zmęczona albo chora, która jest taka tylko dla mnie, ale daje bez opamiętania każdemu, kto tylko chce. No. co byście zrobili? Co, wy cwaniaki pierdolone, świętojeblliwe gliniarze, spróbujcie tak żyć. spróbujcie...

— Przestań — nie wytrzymał Niania. — Życiorys możesz opowiadać księdzu.

„Chryste — pomyślałem dlaczego to tak jest?" I raptem poczułem, że żal mi tego biednego skurwysyna, który siedzi tu przerażony, boi się, że wrobimy go w zabójstwo, a w rzeczywistości myśli o tym. jak jego żona puszcza się z innymi. Ale jest on naszym jedynym punktem zaczepienia Dlatego musi się nas bać. musi powiedzieć wszystko, w czym znajdziemy chociaż jedno słowo, którego będziemy mogli się zaczepić.

— Michał zdecydowałem — daj go na dołek, niech oprzytomnieje. Może później będzie można jeszcze z nim porozmawiać.

— Ależ. panie kapitanie, ja nie zabiłem, nie zabiłem... — powtarzał wyprowadzany.

Szczeknęła zasuwa i w uchylonych drzwiach pokazała się głowa jasnowłosej dziewczyny.

— Milicja — nie bawiłem się w ceregiele. —Chciałbym z panią porozmawiać.

— Wejdz — uchyliła szerzej drzwi. Zobaczyłem przez mgnienie młody, pełny biust, ociążale kołyszący się na boki. szczupłe nogi. a potem plecy i rozedrgane pośladki.

— Zaraz coś na siebie narzucę, żebyś nie czuł się zgorzony. Wejdz do kuchni.

Przez uchylone drzwi pokoju widziałem rozkopane łóżko, w którym całkiem nagi spał łysy mężczyzna. Nie był to najbardziej interesujący widok, jaki ujrzałem w życiu.

Odnalazłem kuchnię i siadłem przy stole. Po chwili przyszła ubrana w olbrzymi sweter, spod którego błyskały jej wysoko wycięte majtki. Właściwie nie byłem pewien, czy jest to sweter, czy może mini—spódniczka. W każdym razie było krótkie. Za krótkie, jak na moje wygłodniałe chłopstwo.

— Chcesz mleka? — spytała robiąc skłon przed lodówką. — Mogę ci dodać do niego czekolady.

— Chcę pogadać.

Spojrzała na mnie spod oka. Przed chwilą wstała z łóżka i była młoda. Tą niebezpieczną młodością, która nie zostawia na policzkach śladu odcisniętej poduszki.

— Wszyscy mężczyźni mówią. Zawsze na początku są słowa, słowa, słowa. Potem zwykle jest tak samo. Ale ty chcesz coś oprócz tego?

— Prowadzimy sprawę...

— Dobrze. Dlatego tu jesteś. Przecież nie zobaczyłeś mnie wczoraj i nie postanowiłeś sobie ot tak, niezobowiązująco, wpaść do mnie o siódmej rano. No nie?

— Znasz Mundka — stwierdziłem.

— Kiedyś znałam. Czy to coś znaczy? Wielu było przed nim, wielu po nim. Co z tego? Ty też wyglądasz nieźle. Może się załapiesz?

— Dobrze go znałaś?

— Jak kogoś, z kim się śpi przez kilka tygodni, ale nie więcej. Miał żonę, o której ciągle opowiadał i był nudny. Ale tam, gdzie trzeba, miał kawał miecha i dlatego go lubiłam.

Ta bezpośredniość mnie przerażała. Nie był to styl, w którym dobrze się czułem. Chyba jakoś mnie inaczej nauczyli o tym wszystkim mówić. Nie wiem, czy gorzej czy lepiej. Inaczej. Raptem poczułem nieprzewyciężoną chęć zapalenia papierosa. Wyciągnąłem w kierunku Magdy otwartą paczkę.

— To nienaturalne — powiedziała. — Takie używki tylko ogłupiają. Nie należy palić, pić, jeść smażeniny. Trzeba być bliżej natury.

— Eeeeeep... — dobiegły nas z pokoju odgłosy wymiotów.

Magda siedziała nieporuszona.

— On też jest teraz bliżej natury.

— Wypił za dużo — skrzywiła się.

— Ty nie pijesz?

Kiedyś, dawno, próbowałam, ale mi przeszło. To oznaka słabości. Pytałeś o Mundka. Wiesz— to taka mała, zawsze nienagannie czysta weszka. Tu trochę pohandluje, to zaszpanuje dziewczynom pieniędzmi, których w rzeczywistości nie ma, a potem się kładzie z nimi do łóżka tylko po to, aby wypłakać swoje żale do żony. Ale jak dziewczyna się postara, to można z niego sporo wycisnąć. Chyba że się wpierw popłacze.

— Ale jest dosyć hojny. Tobie na przykład podarował sygnet z Ostoją.

— On? Mnie? Nić pamiętam.

— Czyżbyś dostawała tyle prezentów?

— No... wiesz... sporo, ale nigdy nie przywiązywałam do nich szczególnej wagi.

— Spróbuj sobie jednak ten sygnet przypomnieć. Nie przyjeżdżałbym do ciebie nad ranem, gdyby mi nie zależało.

— Jaki on był?

— Zwykły męski złoty sygnet z herbem Ostoi. Dwa półksiężycy i coś w: środku.

— A rzeczywiście, prosił mnie, żebym go sprzedała, ale ja się takimi rzeczami nie zajmuję—



—To co z nim zrobiłaś? —.Dałam go matce, żeby sprzedała, ale ona zostawiła go sobie i powiedziała mi, żebym jej przysłała Mundka. to dogadają cenę. Co mu przyszło do głowy, żeby opowiadać, że mi go dał w prezencie? Ale on taki jest, zawsze lubił trochę szpanować.

— Kiedy to było?

— Ponad pół roku temu.

— Jak często bywasz u rodziców?

— Rzadko, raz na dwa, trzy tygodnie, nie mam tam nic do roboty.

— Spotykasz się jeszcze z jakimiś kumplami z Targówka?

Z kilkoma, jeśli tu wpadną.

— Twój rodzice są bogaci?

— Cóż chcesz, tyle lat w prywatnym handlu...

— Wszyscy o tym wiedzieli?

— Wszyscy, choć matka to ukrywała. Ale co jest? Kto ciebie w końcu interesuje? Ja. Mundek czy moja rodzina? Po co przyszedłeś tak rano?

— Ubierz się pojedziesz zobaczyć się z matką. Tylko wpierw spław tego łysola.

—Może jednak powiesz, mi, o co chodzi?

Nigdy nie lubiłem tego momentu. Zawsze się przed tym wzdragam, choć wiem, że muszę to zrobić. Nic lubię tego mówić.

Powiedziałem.

Magda rozplakała się.

## DZIEŃ PIERWSZY

---

W komendzie czekała mnie hiobowa wieść. Małgosia od rana ma gorączkę — obwieścił Panienska patrząc na mnie wyczekująco. Znowu chciał, abym go choć na chwilę puścił do domu.

— A gdzie Płetwa i Niania?

—Poszli jeszcze raz do mieszkania Zielonków — poinformował mnie Panienska. — Niania uważa, że wczoraj mogli coś przeoczyć. Ale przecież cała ekipa sprawdzała.

Jasne, że sprawdzała. I na pewno nic nie znajdą. Ale te stare cwaniaki nie potrzebowały wymyślać chorego dziecka, aby wyrwać się z komendy, skoczyć do fryzjera na golenie i do najbliższego baru na śniadanie. Panienska jeszcze do tego nie dorósł. Jeszcze się tego nie nauczył. Ale to już niedługo będzie trwało. I tę wiedzę wkrótce posiędzie.

— Dobrze, Panienska. Pogadaj z tym nieszczęsnym Mundkiem, który już przez te kilka godzin powinien skruszeć. Ale jak nic nowego nie powie to możesz go puścić. Nie zapomnij jednak nadać chłopcom z dzielnicy, aby dokładniej przyjrzeni się środowisku pana Mundka i Magdy. Trzeba wziąć pod lupę miejscowych cwaniaczków. Jeśli ukradli pieniądze. Zielonkom, to przecież nie po to. aby żyć w umartwieniu, tylko żeby je wydać. Poproś Adamiaka, żeby przygotował listę jakichś dziesięciu najbardziej jego zdaniem podejrzanych z jego dzielnicy, którzy mogli zrobić taki skok. Wreszcie niech ktoś rozejrzy się na bazarze i pogada z handlarzami. Spamiętasz wszystko?

— Spamiętam — Panienska też był już znużony i wyglądał żałośnie z niemrawymi kielkami brody, która jeszcze nie zdążyła mu się rozwinąć. Pomyślałem sobie, że nic się nie stanie, jeśli chłopak wyskoczy do domu.

— Jak skończysz, a na komendzie zjawią się Pletwa i Niania, możesz skoczyć na trochę do domu.

— Dziękuję. Chyba ty jeden rozumiesz, ile to dla mnie znaczy.

— Nie wyglupiaj się. Panienska — próbowałem być szorstki. Załatw wszystko, co trzeba, ale pamiętaj: musisz poczekać na Nianię i Pletwę. Ja teraz wypiję kawę i pójdę do „jubilerów”. A ty coś jadłeś?

— Tak. przed chwilą. Teraz wezmę tego Brycza.

— Powodzenia.

Każda policja na świecie może funkcjonować w dużym stopniu nie tylko dlatego, że doskonale zna swoje środowiska przestępcze, ale też i dlatego, że ma wśród niego umieszczonych swych informatorów. Działają oni na różnej zasadzie. Są tam, gdzie nie dotrze najlepszy wywiadowca, wiedzą to, czego inspektorzy muszą dowiadywać się tygodniami. Znają wszystkich i wszyscy ich znają. Dzisiaj chciałem się spotkać z kilkoma z nich. Z tymi, którzy potrafili sobie wyrobić jaką taką markę na rynku i, mając względnie ustabilizowaną pozycję, mogli się już czuć pewnie. Byli na ogół cenieni i szanowani w swoim środowisku. „Doceni”, do którego pierwszego się udałem, prowadził od kilku lat mały antykwariat na Pradze. Nic w tej dzielnicy nie działo się bez jego wiedzy. To, że miał za sobą trzy wyroki, przydawało mu tylko prestiżu i splendoru. Poczekalem na moment, gdy nikogo nie było w małym pokoiku, służącym za sklep.

— Nie jestem najbardziej szczęśliwy z pana wizyty — przywitał mnie pan Jan.

— Daj wywieszkę na drzwi, że przerwa i zamknij tę swoją bibliotekę.

Jan, dystyngowany, nienagannie ubrany pan w średnim wieku, choć z wyglądu mocno podstarzały, podszedł do drzwi i wprawnym ruchem przekreślił tabliczkę z napisem „Zaraz wracam”.

— Panie Janie — zwróciłem się z jak by nie było pewną dozą szacunku do starego wyrokowca — interesują mnie przedmioty. 2 pewnego zabójstwa. Przede wszystkim biżuteria. A szczególnie sygnet z herbem Ostoi. Nie—muszę panu tłumaczyć, jak on wygląda. Rozumiemy się.

— To pachnie czapą albo długim— wyrokiem. Jak będę miał coś dla pana kapitana to jak zwykle, prawda?

— Tak— numer telefonu się nie zmienił — zbierałem się do wyjścia.

— Panie kapitanie — zatrzymał mnie Docent.

— Co takiego?

— Mam tu coś dla pana — sięgnął pod ladę — Siara chińska mądrość *I Cing*, przyda się panu na pewno w niejednej rozterce. Gwarantuję, że zawsze będzie pan wiedział, jak postąpić. Wziąłem ją nieufnie do ręki.

— Sześćset — wymamrotał Jasio wpatrzony w blat kontuaru. Co było robić? Zapłaciłem.

Następny na mojej liście był pan Franciszek ze sklepu „Jubilera” na Marszałkowskiej. Jego działalność była całkiem niewinna. Ot, po prostu niektóre precjoza, które skupował, zamiast do sklepu, trafiały do jego kieszeni. Ale zawsze się wszystko zgadzało. Twierdził, że jest to silniejsze od niego i że w rzeczywistości jest kolekcjonerem dzieł sztuki. Szkoda tylko, że na ogół odsprzedawał je z pokaźnym zyskiem.

Na ławce przy Kredytowej poczekałem na Henryka. Ten pracujący przed „Pewexem” pan w średnim wieku doskonale wiedział, że ile razy na niej usiądę, musi znaleźć chwilę czasu na pogawędkę.

Potem jeszcze handlarz złotem na placu Unii i jeszcze jeden, i jeszcze...

Teraz, jeśli gdziekolwiek w Warszawie pojawi się sygnet z herbem Ostoi, będę wiedział o tym niemal natychmiast.

W komendzie—, czekał na mnie zrozpaczony Panienska.

— Płetwa i Niania znaleźli jednak w mieszkaniu Zielonki bilet tramwajowy z Wrocławia. Jak to się stało, że nasza ekipa go przeoczyła — doprawdy nie wiem. Może dlatego, że leżał dokładnie pod nóżką telewizora. Może zagląдали pod telewizor, ale go nie przestawiali.

— I co? — spytałem.

— Przepytałem jeszcze raz mamuszkę. Powiedziała, że rzeczywiście kilka dni temu był u niej bratanek z Wrocławia, który chciał pożyczyć pieniądze na swój ślub. Ale twierdzi, że nic mu nie dała i przegnała. Zda się, że nie bardzo kocha braciszka z Ziemi Odzyskanych.

— Trzeba go natychmiast sprawdzić. Wszystko, co tylko o nim wiedzą we Wrocławiu.

— Zdobiał to Niania. Chłopak był już dwukrotnie karany za rozboje.

— To chyba wszystko jasne. Wiadomo, co trzeba zrobić. Czym się smucisz?

— Tym właśnie — spochmurniał jeszcze bardziej Pantenka. — Płetwa i Niania pojechali już wozem do Wrocławia, a ja nie zdążyłem wyskoczyć do domu.

— Cóż. Jacek, może ci się to uda następnym razem. Teraz pozostaje nam czekać. Ale a propos, co zrobiłeś z Mundkiem?

— Odesłałem do żony. Był ciężko wystraszony. Może się pogodzą.

— Może — powiedziałem. I raptem zdałem sobie sprawę z tego— że mi na tym sam nie wiem dlaczego, naprawdę zależy. Wpadłem na pomysł.

— Jacek, a co się dzieje z knajpami, nocnymi portierami i wszelkiej maści dziwkami? — dawałem mu szansę wyrwania się do domu.

— O cholera, zapomniałem, doprawdy zapomniałem! Trzeba to zaraz nadrobić.

Spojrzałem na niego z rozbawieniem. Nasz Panienska zaczyna chwytac trudną sztukę słuzenia w sekcji zabójstw.

— No, no właśnie, widzisz, jak łatwo się poślizgnąć? Leć natychmiast to nadać.

Odetchnąłem ujrawszy błysk zrozumienia w oczach Panienki. Będą jeszcze z niego ludzie. Elżbieta też będzie szczęśliwa.

— Panienka — zatrzymałem go jeszcze — przypominam ci na wszelki wypadek, że mieszkasz po drodze do Grand Hotelu.

— Dziękuję.

Wszystko wskazywało na to, że za kilkanaście godzin Michał z Krzysztofem przywiozą do Warszawy mordercę Zdzisława Zielonki. To już była tylko kwestia czasu. Karany dwukrotnie za rozboje bratanek Anielci mógł, gdy ta odmówiła pożyczki, sam chcieć jej sobie udzielić i nakrył go na tym Zdzich. Chyba tak właśnie było. Teraz, gdy Płetwa z Nianią jechali w stronę Wrocławia, aby go aresztować, można było sobie pozwolić na chwilę oddechu. Właściwie pozostało tylko odwołanie rozpoczętych akcji i zakończenie przesłuchań. Reszta należy do wydziału dochodzeniowego. Niech już oni się z tym męczą. Dla nas robota skończona.

Jak zwykle cicho, jakby niepewnie, pojawił się w pokoju sierżant Adamiak.

— Cześć. Bulldog. Panienka mi powiedział, że jak zwykle nic nie wiecie i żądacie ode mnie, abym wam wiązał mordercę.

— A ty stara glisto, tak jak zawsze wzięłeś to sobie do serca.

— W sercu to ja będę miał wkrótce zawał. I nie myśl, że będzie to bez twego udziału. Ale tymczasem zrobiłem to, czego panowie oficerowie jeszcze nie wyglówkowali. Po prostu przejrzałem kartoteki, Ot, jak zwykle Adamiak jest od brudnej roboty.

— Poldek, narzekasz całe życie. Ale tym razem masz powód, natyraleś się na darmo. Chłopcy pojechali zgarnąć zabójcę Zielonki.

— Chcesz powiedzieć, że znowu stary wierny pies gończy Adamiak został wystawiony przez ciebie do wiatru?

— Wiesz, robisz w takiej dzielnicy, że pewnie niedługo znowu się spotkamy. Pokaż tę swoją listę, że bym wiedział, na kogo wtedy będę mógł liczyć, żebyś już ty nie musiał się narobić.

— Odwal się.

— Nie złość się. To było dla nas samych niezbyt spodziewane, po prostu tak się złożyło. No, daj tę listę.

— Nie mam jej. Widzisz, ja tu po prostu znam ludzi. Wszystko mam tutaj — klepnął się w czoło. — Myślałem tak naprawdę tylko o trzech. Jasne, że gdybyś mnie przyduśił, mógłbym ci wypisać i ze trzydzieści nazwisk. Ale tak naprawdę mógł to zrobić Kuba Orzeszko, który niedawno wyszedł po wyroku za rozboj. Janusz Ilczukiewicz, bo co prawda już dawno jest na wolności, ale to specjalista od wchodzenia do mieszkań na plastelinę, i trzeci, najmłodszy, taki sobie bandziorek. Marcin Kaczorowski. Wiesz, hippis, długowłosy, chyba ma coś wspólnego z narkotykami i ze studentami z ASP. Parę razy widziałem go nacpane-go...

Niespiesznie zbierał się do wyjścia. Miał jednak wyraźnie chęć na pogawędkę, bo mijając półkę stojącą przy drzwiach, wziął do ręki jedyną na niej książkę mówiąc:

— Co, macie czas nawet na czytanie kryminałów? Nie dość, że hieny, to jeszcze zbrodnie. Co to jest?

Poznałem mądrości wschodu.

— *I Cing*. Możesz się z tego dowiedzieć, jak masz postępować.

— Widzisz, jak się ramoleje na dzielnicy? Wy, oficerowie, korzystacie z najnowszych zdobyczy nauki. Książki wam mówią, co macie robić.

— Daj mi to. Sam nie miałem czasu do tego zajrzeć. To przymusowy zakup ze sklepiku Docenta — wyjaśniłem.

— Poczekaj, tu piszą, że trzeba rzucać monety. I co, nad każdym trupem teraz będziecie rzucać? Już ja to widzę, cała komenda będzie się z was nabijała. To co, pobawisz się trochę z Adamiakiem?

— Dawaj jakieś trzy monety, to zrobię ci tę uprzejmość.

— Masz heksagram „Upadek” — ucieszył się Adamiak. — *Grozi ci porażka. Każda sytuacja jest częścią zmieniającej się większej sytuacji, która z kolei rozwija się pod wpływem większych i pozornie statycznych sytuacji.* Jasne? — upewnił się. — O, przeczytam ci jeszcze piątą linię tego heksagramu; *Twoje mylne podejście i błędy, jakie popełniłeś, dostrzegają ludzie, którzy mają w tym swój udział. Ale błędy winią ciebie i mają rację.* Mądrości Wschodu są jednak wieczne. Żegnam.

Zostałem w komendzie sam. Pozostało mi tylko czekanie. To niemal pewne, że jutro koło południa Płetwa z Nianią przywiozą 7 Wrocławia mordercę. Ale moje nadzieje nic mogą zostać nie spełnione. Dlatego niech dalej trwają przesłuchania. Niech wywiadowcy szukają sygnetu z Ostoją wszędzie, gdzie tylko może się on pojawić — Niech nagabują sąsiadów, handlarzy na bazarze, prostytutki i kelnerów w knajpach. Niech robota trwa.

I dlatego w każdej chwili może nadejść jeszcze jakaś nowa wiadomość, mogą wypłynąć nie znane do tej pory fakty, ujawnić się osoby, których istnienia nie przypuszczaliśmy. I dlatego zostaną jeszcze tej nocy w komendzie na Pradze. Zresztą na mnie nikt nie czeka.

## DZIEŃ DRUGI

---

Do pokoju wtargnęli raptem wszyscy naraz. Pierwszy wszedł Płetwa krztusząc się ze śmiechu, za nim dziwnie przygaszony Niania i rozradowany komendant dzielnicy, gdzieś prześliznął się cień Adamiaka.

— Buldog, sam nie wiesz, jakich masz doskonałych współpracowników w swym zespole — wykrzykiwał Panienska.

— Co się stało?

— Właściwie nic — powiedział uspokojony z nagłą Płetwa. — Tylko Niania odbywał ćwiczenia z bronią we wrocławskim „Bazarze”.

Zmartwiałem. Niania nie był człowiekiem, który bez przyczyny sięgał po broń.

— Jak to było? Po kolei — zażądałem.

— Nie słuchaj głupot. Każdemu się może przytrafić. A w ogóle to nic się nie stało — Niania był wyraźnie wściekły.

— Coś z siostrzeńcem Anieli?

— A skądże. Niania nie wyciąga swojej armaty na chłopców, on woli baby!

Rechotali zawzięcie. Tylko ja nie wiedziałem, o co chodzi.

— Słuchaj — wykrztusił wreszcie Płetwa nie zwracając uwagi na Nianię, który usiadł na krześle i udawał, że cała ta awantura w ogóle go nie dotyczy. — Po przyjeździe do Wrocławia okazało się, że tam już zaczęto go sprawdzać i trzeba było czekać na wyniki. Poszliśmy więc do hotelu

— I ty oczywiście przypomniałeś sobie wieczorem o jakimś z. dawna nie widzianym koleśiu — odezwał się z przekąsem Niania. — Zostawił mnie w hotelu, a sam poszedł chlać — poskarżył.

— Za to ty byłeś jak się okazało, w gotowości bojowej — uśmiechnął się Płetwa.

Niania ostentacyjnie wziął do ręki wczorajszą gazetę i zaczął ją przeglądać.

— Co z tym użyciem broni? — chciałem wreszcie wiedzieć.

— On — kontynuował Płetwa miał mi zostawić klucz w recepcji. Wracam około drugiej w nocy. Klucza nie ma. Pomyślałem sobie, że może coś się stało i musiał wyjść, ale wiem, że taki tępy to nasz Niania nie jest i zostawiłby mi jakąś wiadomość. To co mogłem pomyśleć?

— Że Niania wziął sobie dziewczynę do pokoju — odpowiedział zgodny chórek mych cudownych współpracowników.

— Ano właśnie. To co, miałem mu przeszkadzać? Położyłem się w holu na fotelu i zacząłem kimać.

— Płetwa, streszczaj się — nie wytrzymał Panienska.

— A czy ty, małolacie, wiesz, jak potrafi wrzeszczeć naprawdę przestraszona kobieta? Nie dość, że mnie obudziła, to jeszcze cały hotel podniosła na nogi. Lecę tam, skąd dobiegały krzyki: „Zboczeniec, maniak seksualny, ratunku, wampir” — Płetwie zaczęły płynąć łzy — i wylądowałem pod pokojem, w którym zostawiłem wieczorem tego rozkoszniczka. Ledwo ta w pokoju nabrała oddechu, zaczęła znowu: „Morderca, zabij mnie. ty zboczeńcu”. na co nasz niezastąpiony Niania odpowiadał wściekły „Zamknij się. błagam, zamknij się. przecież ci nic nie robię” i jak ona „morderca”, to on „jak się nie zamkniesz, kurwo, to cię zastrzelę, jak Bóg na niebie, zastrzelę”. Z tłumu zbierającego się przed naszymi drzwiami wyskoczyła taka chuda z długim nosem i wałąc w drzwi też zaczęła wrzeszczeć: „Zosiu, proszę cię, wyjdź, Zosiu, błagam, przestań krzyczeć”.

— Co tam się stało? — spytałem zdenerwowany.

— Ja też nic nie rozumiałem, dopiero potem okazało się, że w pokoju obok mieszkały dwie dziennikarki z Warszawy. W nocy jedna z nich pomyliła pokoje i wylądowała w naszym. Dziecko zabrałoby mu ten pistolet, który miał pod poduszką i który wyciągnął, bo się bał baby.

— I co dalej? — Panienska wyraźnie to wszystko przeżywał.

— Nic. Niania oprzytomniał i — acz niechętnie, ze spluwą w garści otworzył drzwi.

Miałem już dosyć tych idiotycznych półsłów.

— Krzysztof, dokładnie powiedz, co zaszło!

— Nie ma co opowiadać — Niania oderwał wzrok od nie czytanej gazety. — Płetwa wszystko powiedział. Nigdy ci się nie zdarzyło, żeby ktoś pomylił pokoje?...

Miałem wrażenie, że jeszcze chwila i to ja go zabiję.

— No już dobrze. Spałem i nie wiem, jak to się stało, ale gdy się obudziłem, bo było gorąco, a ja zapomniałem otworzyć okno, zobaczyłem, że Płetwie spod koca wystaje ten jego cholerny wielki, tłusty i obleśny zad. Wstałem i przyłożyłem w tę dupę.

— Co? — spytałem nie wierząc własnym uszom.

— Klepnałem Michała w dupę. To znaczy nie Michała, tylko tę Zośkę, ale jak waliłem, to myślałem, że to Płetwa...

No nie, tego już było i dla mnie za dużo. Zacząłem się śmiać.

— Nie masz czego się śmiać. Ten mój klaps musiał ja no, tego... zaskoczyć. I nie spodziewała się chłopca w pokoju, bo myślała, że obok śpi jej koleżanka. I wrzeszczała. A ja przestraszyłem się kompromitacji i chciałem ją uciszyć. A że darła się coraz bardziej, to chciałem postraszyć... — kończył coraz wolniej, bo raptem koledzy przestali się uśmiechać i poważniejąc przyjmowali postawę zasadniczą. W drzwiach pokoju stał — zapewne od kilku już chwil — nasz szef.

— Pistoletem? — zainteresował się.

Niania pomilczał chwilę, a później z determinacją odpowiedział:

— Pistoletem. Krzyczała: „zбочeniec, ratunku”. Tylko broni mogła się przestraszyć i zamilknąć, przecież ja nic złego...

— Zostawmy to z tobą, Paweł, porozmawiam o tym później. A teraz powiedzcie mi, dlaczego zostawiliście we Wrocławiu siostrzeńca pani Zielonki?

— Jest czysty — chciał się zrehabilitować Niania. Niemal w czasie zabójstwa brał ślub. Dokładnie wczoraj o czternastej. Nawet gdyby chciał, toby nie zdążył...

No jasne, dziecko powinno to przewidzieć. Każdy, dosłownie każdy mógł o tym pomyśleć. Dałem się złapać na pewność siebie, z jaką opowiadał mi o znalezionym wrocławskim bilecie Panienska. To nie jego wina. Płetwa i Niania też musieli tam pojechać. Tylko ja nie pomyślałem i o mały włos nie zatrzymałem wszystkich działań operacyjnych. Ja. Buldog. Chyba raczej rozhisteryzowany ratlerek.

— Chyba nie mam tu nic do roboty — przerwał milczenie pułkownik. — Kapitan Rukat zamelduje się u mnie jutro i przedstawi koncepcję dalszych działań. Do widzenia, panowie.

Wyszedł i zostało po nim napięte milczenie. Wiedziałem, że wszyscy myśleliśmy o tym samym. Że nie mamy nic, co by mogło nas doprowadzić do mordercy. Ani jednego przedmiotu, który zginął, żadnego śladu. Pozostaliśmy w pustce.

Zobaczyłem, jak przede mną kładzie się na biurku kartka papieru.

— Nie ma tu, jak obiecywałem, trzydziestu, ale z tej dwunastki może sobie kogoś dobierzesz — to przewidujący Adamiak myślał za mnie.

— Wszystkich natychmiast zapudłować, przesłuchać i sprawdzić alibi. Adamiak tego sam nie zrobi, ale chyba możemy liczyć na miejscowych. Nadaj to natychmiast jako moje polecenie i proszę: wróć do nas — spojrziałem na Adamiaka. — Dziękuję.

Przez chwilę wydawało mi się, że przez marsowe oblicze dzielnicowego prześlizgnął się cień uśmiechu. Bez słowa wyszedł i jeszcze żaden z nas nie zdążył się odezwać, gdy jego chuda postać znowu pojawiła się na tym samym krześle przy drzwiach.

— Niania, zaczynaj — wszystkie głowy zwróciły się w stronę Krzysztofa.

Spochmurniały Niania w dalszym ciągu chyba rozważał swe wrocławskie przygody. Usłyszawszy skierowane do siebie pytanie zaczął cedzić bez entuzjazmu:

— Dla mnie to są typowe rozgrywki handlarzy. Za słabo weszliśmy w to środowisko. Nie ma co szukać na bazarze czy gdzie indziej, trzeba sprawdzić dokładnie kontakty handlowe Zielonki. A w ogóle dobrze byłoby wziąć się za tych ludzi. Gdy poczują się przyciśnięci i zaczną się kotłować, to zawsze coś z tego wyjdzie.

— Goła dupa spod koca — nie wytrzymał Panienska i nie zwracając uwagi na gwałtowny ruch, z jakim obrócił się ku niemu Niania, spokojnie kontynuował. Raczej trzeba szukać w rodzinie. Może jakieś sprawy spadkowe, które nie zostały wyjaśnione? Skąd Zielonka miał na rozpoczęcie? Bo przecież musiał mieć pieniądze na początek. Może dał mu ktoś z rodziny? Co jest z tymi, którzy zostali na wsi? Może pozazdrościli bogactwa rodzinie w Warszawie?

— Klepiesz z takim samym skutkiem, jak ja we Wrocławiu — odgryzł się Niania.

— A jeśli to była czysta pozoracja? Jeśli ktoś zabił Zielonkę tylko dlatego, że się komuś naraził? Może to była przypadkowa kłótnia i dopiero gdy w bójkę Zdzych zginął, postanowił upozorować rabunek — przecież to mieszkanie nie było tak bardzo przekopane. Zabójca albo szybko trafił na skrytkę w żyrandolu, albo też dobrze o niej wiedział i tylko dla zatarcia śladów porozwalał trochę graty w mieszkaniu — Płetwa sceptycznie odnosił się do koncepcji swych poprzedników.

— A ja stawiam na swych podopiecznych — odezwał się Adamiak.

— To sobie pogadaliśmy, chłopcy. Żeby była pełna jasność. Myślę, że w tym przypadku jednak Poldek jest najbliższy prawdy, ale moim zdaniem trzeba także zainteresować się Magdą i przyjrzeć się trochę bliżej tym naturalistom, hipom, épaczom. Ona mogła komuś zupełnie bezwiednie nadać tę robotę. A jest to środowisko, które przy głodzie narkotycznym zrobi wszystko, byle tylko sobie dać w żyłę. Teraz tak. Jak zwykle każdy sprawdza swoje, traktujcie to wszystko głęboko i na szerokim podłożu.

— To ty będziesz sprawdzał Magdę? — spytał niewinnie Niania.



—Daruj sobie. Przypominam. Jutro z samego rana koniecznie musimy mieć pełną dokumentację. Żeby nie było, że ktoś zapomniał sporządzić jakąś notatkę. Pułkownikowi morderca zawsze wychodzi z papierów.

Na aparacie telefonicznym zabłysło nagle czerwone światełko i jednocześnie odezwał się brzęczyk. Dyżurny pytał, czy chcę rozmawiać z obywatelką Magdą Zielonką.

— Słucham. Paweł Rukał.

— Nie byłem dla pana zbyt miła ostatnim razem — usłyszałem w słuchawce. — A gdy na zakończenie rozmowy powiedział pan o śmierci tatusia, to sam pan rozumie, że...

— Rozumiem.

— Pomyślałam, że może mogłabym panu w czymś pomóc...

— W czym?

— No. nie wiem...

— Dobrze. Proszę mi powiedzieć, gdzie się teraz, rozumie pani, teraz możemy zobaczyć.

— Jestem u siebie w domu.

— Będę za piętnaście minut w „Krokodylu” na Starym Mieście, to dwa kroki od pani mieszkania, a chyba będzie nam wygodniej rozmawiać na neutralnym gruncie.

Mimo obezwładniającego upału Magda była wypoczęta i pachniała świeżością. Nie nosiła — jak jej matka żałoby. W swych luźnych ciuchach, w szerokiej spódnicy, z bełtającym się w bluzce biustem, niczym nie różniła się od setek dziewczyn, jakie można było spotkać tego popołudnia na Starym Mieście. Nie tylko w jej stroju brak było żałoby. Gdybym nie wiedział, że dopiero wczoraj zamordowano jej ojca. mógłbym przypuszczać, że przed chwilą wróciła z basenu. Nie zdziwiłbym się zresztą, gdyby tak było.

— Napije się pan ze mną piwa?

— Nie — czekałem, co będzie dalej. To ona zadzwoniła do mnie do komendy i ona chce załatwić jakąś sprawę. Muszę się dowiedzieć, o co jej chodzi, ale nie muszę wychodzić jej naprzeciw. Czekałem,

— Panie kapitanie, czy może mi pan powiedzieć, co wam się udało już ustalić?

Bawiła mnie ta forma „pan”, gdy się do mnie zwracała. Bawiła mnie tak samo, jak wczorajszego ranka, gdy zwracała się do mnie per „ty”. Ale się nie śmiałem.

— Nie. Niczego nie ustaliliśmy, ale chyba nie przypuszcza pani, że gdyby nam się już coś udało, powiedziałbym o tym?

Pochyliła się do mnie nad stolikiem.

— Ja wiem. że w sprawie mordercy mojego ojca nie może pan mi nic powiedzieć. Tylko że matka martwi się bardzo, bo zginęły wszystkie pieniądze i kosztowności. A ja przecież nie jestem w stanie utrzymać ze swego stypendium dwóch domów.

— Zawsze może się pani przeprowadzić do matki.

Cofnęła się gwałtownie. Wiedziałem już, o co Magdzie chodzi. I czułem się w tym wszystkim obrzydliwie. Jednak niczego mi nie darowała.

— Może jednak w ciągu tego czasu udało się panom natrafić na nasze precjoza albo pieniądze?

— Pani Magdo, wczoraj zakończono sekcję zwłok, możemy już wydać ciało, myślę, że tym powinnyście się panie zająć.

Nie była to jednak dobra metoda. Dostrzegłem, jak gwałtownie wciągnęła powietrze.

— Proszę o tym powiadomić matkę. Ona się będzie zajmować pogrzebem.

Poczułem raptowny skurcz żołądka. Byłem wściekły. Chwyciłem ją za rękę.

— Posłuchaj, mała. Najmniej nas w tej całej historii interesują wasze bogactwa. Dla nas zginął człowiek. Zależy nam na zabójcy i tylko to jest ważne. Powiedziałeś, że możesz nam pomóc. Chcesz tego nadal?

— Potrafi pan być okrutny.

— Potrafię. Tylko dlatego, że muszę być skuteczny. I dlatego zaraz wszystko mi powiesz.

Jeszcze przez moment widziałem bunt w całej jej sylwetce. Nagle spokorniała. Może dostrzegła swój błąd. Może zrozumiała, że tylko dzięki nam ma szansę odzyskać pieniądze. To wszystko jedno.

— Mówiłaś, że w dalszym ciągu spotykasz się z chłopakami z Targówka.

— No i cóż?

— Dasz mi teraz ich namiary.

Widząc, że wyciągnąłem notes, zaczęła dyktować z przerwami, abym nadażył zapisywać.

— O nikim nie zapomnieliś?

— Nikogo już sobie nie przypomnę.

Ja zaś pamiętałem doskonale listę sporządzoną przez Adamiaka, ale nazwiska, które na niej były, nie Magdzie nie mówiły. Nie. już nic z nią nic miałem do załatwienia.

— Pani Magdo — spróbowałem załagodzić swoją dotychczasową ostrość — co pani teraz będzie robić?

Wstała i spokojnie, wolno powiedziała:

— Zaczę przywiązywać większą wagę do prezentów, jakie mi dają. ty idioto.

Odezwał się telefon.

— Kapitan Rukat, słucham.

To był kelner z „Kongresowej”. Zawsze bał się współpracy z nami dzwonił jednak skrupulatnie nawet wtedy, gdy miał do przekazania całkiem nieistotne informacje. Zgodziłem się przyjść do niego wieczorem. Nigdy wżyciu nie pokazałby się w komendzie.

— Buldog do pokoju wszedł wyraźnie przestraszony Niania. — Paweł — patrzył na mnie błagalnie.

— Co znowu zbroiłeś? Mało ci było jeszcze przygód we Wrocławiu?

— Właśnie o to chodzi. Jedna z nich mnie odszukała i chce się umówić.

—Niania! Nie zawracasz ty mi przypadkiem głowy? Mało mam tułaj roboty, nie? Obijam się? Z nudów twoim zwyczajem łążę z kąta w kąt. Tak myślisz, nie? Wal śmiało, nic krępuj się.

—Paweł — Niania nie dawał za wygraną. To jest jakaś pieprznęta dziennikarka i chce ze mną porozmawiać o naszej robocie. Umów się z nią. Ja się boję, ona ma naprawdę zajoba.

Był to jakiś pomysł. Może nie najlepszy, ale zawsze.

— Dobrze — powiedziałem. — Jeśli umówisz, się z nią w „Kongresowej”, to pójde z wami.

— Nie wykiwasz mnie? Bo jak tak. to ja zwiewam. Żeby potem nie było na mnie.

— Powiedziałem, że pójde, nie?

—Mam ją w drugim pokoju na telefonie.

Powiem, że przyjde z tobą i dam jej twój numer na wszelki wypadek. Niech potem ciebie ściga w razie czego.

— Mam tam interes do załatwienia, powiedziałem, że pójde. Tymczasem spływajcie wszyscy.

— Tsss... — syknął Panienska Buldog będzie pracował.

Właśnie to miałem zamiar robić. Czekala na mnie cała sterta papierów.

Nie lubię nocnych knajp, nie chodzę do nich, chyba że służbowo. Nigdy mnie nic bawiło chlanie z przygodnie poznanymi ludźmi. Złości mnie rechot kiepskich głośników. Nie śmieszy mnie mazowiecki akcent angielskojęzycznych piosenkarzy.

Był to kolejny upalny wieczór. W „Kongresowej” o tej porze było jeszcze pustawo. Przy niewielu stolikach tkwili ci, którzy się zasiedzieli tutaj od obiadu. Musiałem dojść aż do fontanny, żeby zobaczyć, jak za orkiestrą, w samym kącie baru. tkwi jedyny w tym towarzystwie ubrany w garnitur mężczyzna. Garnitur szyły wyraźnie na zamówienie nie był w stanie ukryć gruzłowatych mięśni. Spoconą twarz trzymał nad szklanką wody mineralnej. Był to Niania. Na szczęście nie zauważył mnie. Cofnąłem się próbując schronić się do jednej z bocznych łóż. Nie całkiem jednak mi się to udało. Odwracając się potrafiłem kobietę, która przechodziła obok.

Była w średnim wieku. Nieagresywny makijaż, dobrze harmonizował z jej malowanymi blond włosami. Uczesanie nic było jednak wprost od fryzjera. Obcisła bandażowa bluzka i prześwitujące przez kłoszową spódnice majtki podkreślały jeszcze rozłożystość bioder. Miała wystający brzuch i zgrabne nogi.

— Przepraszam panią bardzo — powiedziałem próbując ją wyminąć. Uśmiechnęła się przyzwalająco i w tym uśmiechu stała się powabna i dziewczęca. Odeszła w kierunku baru. Po chwili zobaczyłem, jak rozmawia z całkowicie skonfundowanym Nianią.

— Dzień dobry, czym mogę służyć? — pochylił się nade mną kelner.

—Co masz do mnie?

— Służę kartą, proszę sobie wybrać — i wyjąwszy z kieszeni kurtki bloczek mówił cicho:

— Wczoraj był tutaj taki, do którego dziewczyny mówią „panie Piotrusiu”. Stawiał wieczorem Aśce i Ance. Słyszał pan o tandemie AA? Miał dużo forsy, choć zwykle bywa goły. Przyszedł do mnie na zaplecze i zaproponował kupno obrączki. Nie wiem, czy to ważne, ale może się panu kapitanowi przyda?

— Znowu sprzedajesz mi same śmiecie. Powiedz chociaż, jak wyglądał.

— Taki niewysoki, w przyciemnionych okularach bez zarostu, młodzik jeszcze, barczysty, poza tym normalny.

— Masz coś jeszcze?

— Polecam wołowinę w czerwonym winie.

— Dobrze, ale zanim podasz, przyjmiesz jeszcze zamówienie od tej dwójki przy barze. Tymczasem postaw na stoliku tabliczkę z napisem reserve

Knajpa się zapęłniała. Podeszedłem do baru i stanąłem za plecami Niani.

— ... i jak on trach po drzwiach, chyba z pół magazynka wywalił, prawda, to ja się pochyliłem, prawda, i, prawda, te drzwi wywaliłem. Złapałem go za nogi. A tu ktoś z sąsiedniego pokoju, prawda, strzela. To ja wygarnąłem do niego...

— A nogi tego pierwszego trzymałeś. Niania, zębami, prawda?

— Wcale nie tak go objąłem i przycisnąłem — Niania splótł dłonie na plecach.

— To strzelałeś nogą?

— Co?... Jak to nogą? — popatrzył nieprzytomnie.

Dziennikarka przyglądała się Niani z uśmiechem. Zapadło milczenie i tylko Niania chyba po raz pierwszy w życiu szczerwieniał na buraczkowo. Zupełnie jak Panienska.

— To... właśnie ta dziennikarka z Wrocławia, redaktor Zofia Rakińska...

— Dzień dobry pani. Nazywam się Paweł Rukat — pochyliłem się nad jej ręką. Krzysiu, zawsze należy przedstawić mężczyznę kobiecie, a nie odwrotnie, grzeczność tego wymaga. A pani niech doprawdy nie bierze dosłownie opowieści Krzysztofa. Jest jednym z najlepszych z naszego zespołu. Tylko czasem przytrafiają mu się dziwne przygody.

Uśmiechnęła się do mnie i znów w swym uśmiechu stała się dziewczęcą powabną.

— Wie pan — powiedziała głosem, który mi coś przypominał — wydaje mi się, że znam mężczyznę, dlatego rozumiem opowieści pana Krzysztofa, pan wygląda na takiego, który niechętnie opowiada. Myślę, że z panem będzie mi trudniej.

Uśmiechnęliśmy się do siebie. Wbrew temu, co powiedziała, już teraz zaczynaliśmy się rozumieć.

— Mam zarezerwowany stół, będzie się tam nam rozmawiało spokojniej.

Pomogłem pani Zofii zejść z wysokiego barowego krzesła. Idąc w kierunku stolika wzięła mnie pod rękę i w czasie tej krótkiej drogi zdążyła opowiedzieć, jak pomyliła klucze we Wrocławiu i niechcący włądowała w pokój Niani. Kelner, który zobaczył nas już i daleka, czekał.

— Podobno jest tu znakomita wołowina?

— Może najpierw jakieś przystaweczki? — pochylił się jeszcze niżej kelner. — Polecam szyneczkę ze świeżą sałatką. A do tego dla zaostrzenia apetytu po małej wódce.

— To dobry pomysł — powiedziała pani Zofia, a my z Nianią skinęliśmy aprobowo głowami.

Orkiestra grała *Rendez vous at the night*. Głośniki stały blisko naszego stolika. Rozkładając bezradnie ręce podałem pani Zofii kartę, prosząc ją o wybranie sobie czegoś. Przeglądała ją przez chwilę, aby podobnym do mojego gestem podać ją Niani. Po czym sięgnęła po papierosa. Niania zerwał się, sięgnął do kieszeni, wyrwał stamtąd zapalniczkę i pochylił się przez szerokość stolika, przewracając połą marynarki stojącą przed nim szklaneczkę. Pstryknął raz, drugi, trzeci, potrząsnął zapalniczką. Spróbował jeszcze raz z tym samym skutkiem. Potarłem zapałkę i podałem ogień.

— Dziękuję — usłyszałem. Orkiestra zrobiła właśnie krótką przerwę między jedną a drugą melodią. Niania wykorzystał ją bez skrpułów. Podniósł przewróconą przez siebie szklanę, skłonił się, przewrócił ją raz jeszcze, podniósł, przez chwilę nie wiedział, co z nią zrobić i wreszcie, stojąc tak z pustą szklanką w dłoni, wyrecytował:

— Przepraszam, ale na mnie już pora. służba nie drużba, mam nadzieję, że nic zachowa pani do mnie urazy?

— Wręcz przeciwnie — odpowiedziała — będę pana długo pamiętać, a szczególnie pańskie dłonie.

Niania skonfundował się powtórnie, jeszcze raz bąknął „przepraszam”, a potem gestem światowca klepnął mnie w ramię i wołając „cześć, zobaczymy się rano”, pognął radośnie oswobodzony w stronę wyjścia gwałtownym kurzgalopkiem.

Zostaliśmy sami. Potem tańczyliśmy, gadaliśmy w chwilach, gdy orkiestra milczała. O mojej pracy nie mówiliśmy. Dlatego było mi miło. Może jednak nie jestem jedynie tępym łapaczem, z którym można rozmawiać tylko o trupie? Tańcząc z Anetą, bo — jak się dowiedziałem — tak nazywają ją koleżanki, dostrzegłem nagle siedzącą przy barze Magdę. Przytulona do mnie całym ciałem Aneta powiedziała;

— Może nie powinnam ci tego mówić, ale chciałabym, abys odprowadził mnie do domu.

— Możesz na mnie liczyć.

— Pamiętaj o tym, drugi raz nie poproszę. Orkiestra przestała grać przed dobrą chwilą i teraz byliśmy jedną z ostatnich par, które schodziły z parkietu. Kątem oka zobaczyłem, że Magda mnie spostrzegła. Gdy usiedliśmy przy stoliku, powiedziałem:

— Nie zdziw się, jeśli za chwilę będziemy mieli kłopoty.

I rzeczywiście, Zanim zdążyłem odpowiedzieć na pytające spojrzenie, odsunęło się krzesło przy naszym stoliku i usiadła na nim Magda.

— Dobry wieczór — przywitała się nieco bełkotliwie. — Widzę, kotek, że potrafisz nie tylko dopić-prać dziewczynom, ale także bawią cię starsze panie. Co się głupio patrzysz siostrze? Nie wiesz, z kim siedzisz, to ja ci powiem. Chłasz w nocnej knajpie pełnej kurew z najbardziej nieustępliwym gliniarzem, jakiego można sobie wyobrazić.

Była wyraźnie pijana i widać postanowiła moim kosztem wyleczyć się z kompleksów, pomyślałem sobie, że w rzeczywistości nie jest taka nieczuła, na jaką się zgrywa i dobrze pamięta naszą przedpołudniową rozmowę. Aneta nie wytrzymała:

— Jesteście państwo na „ty”?

— Z nim? Równie dobrze możesz mówić „ty” stalowemu buldożerowi. I tak go nie okiełznasz, będzie robił swoje — odwróciła się do mnie. — Jeśli myślisz, że to, że nie poszedłeś ze mną do łóżka, coś zmienia, to się mylisz. Nie lubię takich oślizgłych, zimnych przystojniaków. Nawet gdybyś chciał, to bym ci nie dała, rozumiesz? Brzydzę się tobą, nie dałabym ci — powtórzyła.

— Magda, z kim ty rozmawiasz?

Obok stolika stał młody, kruczoczarny, szczupły brunet z krótko przystrzyżoną brodą, ciemny śniadością Cygana, z długimi dziewczęcymi rzęsami i czarnymi oczyma.

— Spierdalaj! — wrzasnęła Magda wyraźnie trzeźwiejąc, a krzyk jej zwrócił uwagę gości siedzących przy kilku najbliższych stolikach.

— Siadaj — pchnąłem nogą krzesło, na które skwapliwie, ciężko opadł.

— Kto ty jesteś? — spytał.

— Nikt, człowiek.

— Nie rozmawiaj z nim, Ciuciek...

— Mogę bynajmniej panią prosić? — zagruchała nad Magdą czyjaś pijacka gęba.

— Zjeżdżaj — Ciuciek odwrócił się patrząc agresywnie na pochylającego się nad Magdą grubaska.

— Niech pan odejdzie — powiedziała znużonym głosem dziennikarka. — Żadna z nas nie tańczy.

— Nieoczekiwanie Ciuciek poczuł w Anecie swego poplecznika.

— Słyszałeś, gówniarzu, co pani powiedziała? Już cię tu nie ma.

— Ja?

Ciuciek poderwał się chwytając go za klapy.

— Ty, kurwa twoja mać. ty. U nas na Targówku już bym cię rozkwasił — przyciągnął spoconą twarz tamtego do siebie — a tu cię tylko grzecznie proszę, żebyś się odpierdolił, rozumiesz?

Stałem obok nich.

— Niech pan odejdzie — powiedziałem spokojnie do grubaska, który — jak się zdawało — o niczym innym nie marzył. Zresztą uczynił to skwapliwie, gdy Ciuciek go puścił. — A ty siadaj — popchnąłem Ciucka na krzesło.

— Co jest? — spytał, a ja złowiłem to samo pytanie w oczach milczącej Anety, która przyglądała się wszystkiemu z wyraźnym zainteresowaniem.

— Gdy ja żyłem na Targówku, uczyli mnie, że nie należy straszyć, tylko od razu bić w mordę. Strasznie dużo gadasz — popatrzyłem na znajomego Magdy.

— A co, nie można?

— Ciuciek, nie gadaj z nim, nie...

— Zamknij się. Jeśli on jest naprawdę z Targówka, to musi ze mną wypić wódkę albo zostawimy panie i wyjdziemy porozmawiać — prowokowałem.

—Możemy wyjść— nie myśl, że ci odmówię. Gotów. Ale wpiery wypij swoją wódkę — pochylał się do mnie mrugając swymi długimi rzęsami.

Nieoczekiwanie dostrzegłem błysk zrozumienia w oczach Anety, wiedziałem, że od tej chwili mi pomoże.

— Boisz się, że zabiorę ci chłopca? — spytała Magdę.

— Ty — odszezeknęła Magda — ty — chybnęła się w jej stronę — popatrz pod krzesło, jak sypie się z ciebie próchno. Zobacz — wyciągnęła gwałtownie rękę w stronę włosów Anety — potargałaś się.

Ciucick jednak wiedział, co może znaczyć taka odzywka. Odepchnął rękę Magdy, nie pozwalając jej chwycić Anety za włosy.

—Nie bój się, ona tylko tak straszy, o Wieśkę też jest zazdrosna.

— Ty gnoju zasyczała Magda — ty mały skurwielku. jak zwykle więcej opowiadasz, niż jest w rzeczywistości. Gadasz jak najęty, a to jest zwykła glina. Chodź stąd wreszcie.

— O ja cię przepraszam — Ciuciek wstał i potulnie poszedł za Magdą.

Patrzyliśmy na siebie z Anetą w milczeniu. Nie spytała ani o to, kim byli ci dwoje, ani też, o co tu naprawdę chodziło. Ja też zbyt dobrze jeszcze nie wiedziałem.

Rano gdy wstawałem, powiedziała, że wywiad przeprowadzi z kimś innym. Ja się świetnie nadaję do zupełnie czegoś innego.

Pomyślałem sobie, że Niania skłamała. Nie była wcale ani wielka, ani biała, ani obleśna. Ale mu tego nie powiem.

## DZIEŃ TRZECI

---

Szef nie był z nas zadowolony. Ja też. Powiedzieliśmy to sobie wzajemnie. Pozostały nam tylko rutynowe działania, nadzieja w Bogu i liczenie na przypadek. Musi on się kiedyś wydarzyć. Tymczasem jednak jego prawdopodobieństwo coraz bardziej się zmniejszało. Czas działa! na korzyść mordercy.

Postanowiłem porozmawiać z Cuprową.

Kupiłem kwiaty.

Wchodząc po ciemnych schodach zobaczyłem nagle na półpiętrze nade mną parę ślicznych szczupłych dziewczęcych nóg obok których przestępowały z nogi na nogę miękkie męskie mokasyny z lekka przykryte wypłowiałymi dżinsami. Zanim zdążyłem zobaczyć więcej, mokasyny nagle zatupały i rzuciły się do pa-

nicznej ucieczki w górę. Przy oknie stała dziewczyna wspomiana mi przez Nianię. Była bardzo szczupła, głęboko wcięta w pasie. Nie miała więcej niż osiemnaście, dziewiętnaście lat... Jednakże na jej twarzy było jakieś niezrozumiałe zgorzknienie. Teraz poczerwieniała zawstydzona, dygnęła jakoś tak po pensjonarsku i skrępowana sytuacją, w jakiej ją zobaczyłem, szepnęła „dzień dobry”, po czym nie patrząc na mnie więcej nagle puściła się schodami w dół. Pozazdrościłem im tej schodowej miłości. ich ukradkowych porannych spotkań Gdzieś było to już za mną. I nigdy nie wróci.

Długo musiałem dzwonić do drzwi pani Cuprowej zanim usłyszałem człapanie kapci. Potem rozległo się schryplę:

— Kto tam?

A wraz z tym posłyszałem dźwięk zakładanego na drzwi łańcucha i zamykanej zasuw.

— Do pani Cuprowej — odrzekłem nie przedstawiając się.

Znowu szcęknęła zasuw obracając się w przeciwnym kierunku. lecz łańcuch nie opadł tylko zatrzymał uchylające się drzwi. Wsunąłem w powstałą szparę kwiaty.

— Dzień dobry, pani Cuprowa.

— Pan kapitan! — zawołała radośnie. — Już otwieram, co za niespodzianka, drogi panie. Już. już otwieram.

I zamknęła drzwi, potem posłyszałem oddalające się człapanie. Potem szum wody. Później brzęk rozbitego naczynia. Zapaliłem papierosa. Palilem chwilę. Chciałem jeszcze raz zapukać Otworzyły się drzwi i stanęła w nich Cuprowa zapraszając mnie do środka.

W całym mieszkaniu unosił się — słodki zapach tanich perfum. Gdy wszedłem do pokoju, zrozumiałem, że to stłukła się buteleczka wody „*Krasnaja Moskwa*”. W połączeniu z zapachem kurzu i kocich odchodów było to nie do wytrzymania. Na szczęście w mieszkaniu Cuprowej było chłodno. Przedwojenne mury nie wpuszczały do środka panującego na ulicy upału.

Stała zacierając chude dłonie.

— Kawusi pan kapitan się napije — stwierdziła uśmiechając się. a wyglądało to tak. jakby umarła i pozostała i nie podwiązana szczęką. Przepraszam za to wszystko, ale wie pan. oni mnie cały czas nachodzą Spokoju nie ma przez chwilę w tym mieszkaniu. Dlatego muszę się zamykać i uważać, kogo wpuszczam.

— Boi się pani kogoś? Przecież zna pani tutaj wszystkich. Chyba że kręcą się tu jacyś obcy?

— Pan to taki niedyskretny. Cudze to przychodzą do tej młodej z czwartego piętra — krzątała się przy kredensie, wystawiając jakieś zeschłe ciasteczka, cukier i karafkę napełnioną do połowy burym, trudnym do zidentyfikowania płynem. — Ale ja panu powiem, że ten Zielonka świętej pamięci, póki żył, to też tu próbował zachodzić. A już zawsze, gdy był trochę napity.

— Pewnie pani sąsiadka nie była z tego zadowolona?

— Kto mógł być zadowolony? — rąbnęła cukiernicą o stół. — Ja go pędziłam, a nawet Anieli skarżyłam się na niego. Może to grzech tak mówić o zmarłym, ale ona też była nie lepsza. Niby to awantury jemu robiła, ale jak sama była w domu, to też różni do niej przychodzili...

— Ma pani utrapienie z sąsiadami?



— A mam, żeby pan wiedział, że mam. Do Anieli chodzili? Chodzili. Ta Wieśka z czwartego cały czas z braciszkiem przyjmuje, kogo chce, a rodzice na wszystko pozwalają. Mało to razy do moich drzwi dobijali się ich goście?

Może można było się od niej czegoś dowiedzieć. Trzeba jednak było się poświęcić, wziąłem kieliszek w rękę unosząc go w górę. pochyliłem głowę.

— W pani ręce. pani Cuprowa. Pozwoli pani, że wypiję pani zdrowie.

— Przydałoby się, nigdy go nie jest za wiele — odrzekła chichocząc nie wiadomo czemu. Później, tak jak zapewne tutejszy obyczaj każe, odwróciła głowę, z wprawą przechyliła kieliszek i stawiając go z chuchem na stole podsunęła mi ciasteczka. — Proszę, niech pan się częstuje.

—To zapewne pani roboty nalewka? — podkadziłem czując w ustach aldehydowy smak świeżo pędzonego bimbrowu.

— Nie mam tego za wiele.

A ja zdziwiłem się, że tak wyniszczona alkoholiczka była w stanie poczęstować mnie kieliszkiem. Wiadać czuła do mnie sympatię.

— Zawsze pani tak przeszkadzają sąsiedzi? Panie kapitanie — zniżyła głos do szeptu,

spoglądając na drzwi. — Co się będziemy czarować, teraz tutaj to prawie całkiem spokojnie, ale jak Magda tu mieszkała, to wtedy się dopiero działo. Wie pan. ona była taka nowoczesna, a z matką to o kochanków się biła.

—Niemożliwe — udałem zgorszenie.

— A tak. panie kapitanie, nigdy pan o takich rzeczach nic słyszał? Tutaj to cała kamienica o tym wiedziała i stary Zielonka leż. Tu. na tej kanapie mnie to mówił — i przykryła usta zdając sobie sprawę, że za dużo powiedziała.

Udałem, że tego nic dostrzegłem.

— A jak Magda się wyprowadziła, to się uspokoiło?

— Pewnie, ale ja panu powiem, że tydzień temu to była tutaj i tak się z matką kłóciła, że aż u mnie było słychać.

Znowu o jakiegoś chłopca?

— O tego chudego eleganta, co to pierścionek sprzedawał. Aniela mu pieniędzy nie zapłaciła i Magda krzyczała, że on teraz do niej przychodzi, to Aniela jej wygarnęła, że jak ten inżynier z nią sypia, to ten pierścionek mógł jej podarować, a Magda się wściekła, bo nie wiedziała, że znowu z matką dzieli kochanka, bo one obydwie z tym inżynierem...

— Coś takiego — podtrzymałem.

— Gdybym była na miejscu Anieli, to ze wstydu bym się spaliła, bo te wrzaski na całą kamienicę było słychać. A potem jeszcze Magda krzyczała, żeby Aniela jej dała pieniądze, bo chciała do Grecji jechać.

— A co na to pani Aniela?

— Ano nic. bo już cicho zaczęły mówić i nie słyszałam, tylko potem do mnie przyszła i dała mi sto osiemdziesiąt tysięcy na przechowanie, ale jakieś trzy dni później zabrała z powrotem.

— A co na to wszystko pan Zdzisław?

— On to tylko na noc przychodził, a wtedy, co ta awantura, to w domu go nie było. Potem tylko mnie powiedział, że Magda i tak za dużo z domu powynosiła i już więcej nie dostanie. W ogóle to był taki spokojny człowiek. Tyle tylko, że wypić lubił ... ale pan nic nie je, może jeszcze trochę kawki?

Wzdrygnąłem się mimowolnie.

— A wtedy, gdy go zabili, widziała pani kogoś obcego?

— Pan to mnie przesłuchuje — poprawiła kokieteryjnie dekolt sukienki — a ja myślałam, że pan tak z sympatii zaszedł do mnie.

„Tego jeszcze brakowało” — spanikowałem się. I nie czekając na jej przyzwolenie prędko nalałem bimbru do obu kieliszków.

— Co też pani mówi, pani Cuprowa, pani to by się jeszcze niejednemu spodobała...

Zachichotała wstydliwie.

— Nie powiem, jest tu w oficynie taki poważny rzemieślnik... ale co też ja panu kapitanowi...

— To dobrze, pani Cuprowa, może się pani jeszcze wszystko ułożyć...

Spojrzała na mnie z wdzięcznością,

— ... ale niechże mi pani powie, kto tutaj się kręcił, jak zabili pana Zdzisława.

— To ja mówiłam pana koledze, że mnie przecież w domu nic było. tylko jak wchodziłam, to widziałam tego od Wieśki, jak na górę wchodził, ale oni też teraz cicho siedzą, bo jej brat w kryminale siedzi, a ten chłopak to nie obcy. jakby domownik, bo co i raz przychodzi.

— A widziała pani kogoś innego?

— Nic. nie było nikogo — odrzekła Cuprowa i z wprawą sięgnęła po karafeczkę.

Zacząłem się bardzo spieszyć i pożegnawszy wszechwiedzącą Cuprową pozostawiłem ją przy stole nad karafką bimbru z porannymi marzeniami o rzemieślniku z oficyny.

— Panie kapitanie, pan wie, że ja nie lubię takich spraw, naprawdę nie lubię — potęgający się upał zmógł nawet Docenta, który w miejsce swej marynarki prezentował koszulę z krótkimi rękawami ozdobioną bezbłędnie zawiązaną muszką. — Powiem panu wszystko, ale proszę, żeby to już było ostatni raz. Czy ja nie mogę być uczciwym kupcem? Wie pan przecież, że od kilku lat nic mi nie możecie zarzucić. Was też już mam dosyć.

Ale te dwie dziewczyny, o których pan mówił przez telefon, przyszły jednak prosto do pana, a nie do kogoś innego.

— Tego właśnie nie rozumiem. Daję słowo, że nie zajmuję się kupowaniem na lewo złota już od dwóch lat.

— Kiedy one były u pana?

— Dwie godziny temu. Przyniosły duży męski sygnet z herbem Ostoi i chciały go sprzedać proponując cenę, która odpowiadałaby połowie jego wartości. Wie pan, to była za niska cena, aby to nie było śmierdzące.

— Jak one wyglądały?

— Jak takie lepsze prostytutki — pan Jan był wyraźnie skrepowany.

— Dlaczego ich pan nie zatrzymał?

— Chciałem, ale gdy poszedłem na zaplecze, żeby zatelefonować do pana, wybiegły ze sklepu i zobaczyłem tylko, jak wskazują do taksówki. Zanim złapałem następną — już ich nie było.

— Trudno, panie Janie, pojedziemy na komendę.

— Panie kapitanie, wszystko, tylko nie to. nie będę miał życia w tej dzielnicy,

— Niech się pan nie obawia, po prostu zatrzymamy pana na 48 godzin i wszyscy będą przekonani, że się o coś czepiamy.

— Właśnie o to mi chodzi. Znowu zaczną do mnie przychodzić różne złodziejaszki, bo będą myśleć, że jestem w branży, a za nimi przyciągniecie wy.

— Trudno, Docent, jednak pojedziemy, ale jeśli ci na tym zależy może ci się wydawać, że wierzę w to. że naprawdę od dawna nie masz nic wspólnego z tego typu sprawami.

— Błagam, niech mnie pan nie niszczy.

— Słuchaj, mówiłem ci, że ten sygnet jest z zabójstwa, albo nam pomożesz, albo sobie pomyślę, że chcesz pomagać komu innemu, a wtedy już na pewno nic nie zarobisz na swoich książeczkach. Nawet mądrości Wschodu zapisane w księdze z Cing ci nic pomogą.

Pan Jan z rezygnacją sięgnął po marynarkę.

— Niech się pan nie spieszy — zatrzymałem go — zrobimy to z odpowiednim huczkiem. Zaraz przyjedzie po pana radiowóz i obu nas zgarną...

— Wczoraj w barze — powiedział Płetwa — jakiś facet zaczął mi opowiadać dowcip o milicjantach. To ja mu na to. że właśnie jestem gliniarzem i wiecie, co mi powiedział? ..Nie szkodzi, powtórzę dwa razy".

— Uspokójcie się. Wyszła Ostoja — byłem wściekły. Docent dzisiaj ją widział — podprowadziłem pana Jana w kierunku biurka. Próbowaly sprzedać ten sygnet jakieś dwie prostytutki...

Zwracałem uwagę na słowa ze względu na nienaganne maniery, jakie próbował zademonstrować Docent. Każdemu z obecnych w pokoju mężczyzn podał rękę i z wprawą trzykrotnie wymamrotał swoje nazwisko, z którego można było jedynie zrozumieć „ski". Godnie usiadł wyprostowany na brzeжку krzesła i sięgnął po srebrną papierosnicę.

— Chryste, znowu baby, ja w to nie wchodzę, daj mi, Paweł, cokolwiek, ale nie nasyłaj mnie znowu na dziewczyny — jęknął Niania.

— Możesz pogadać o tym z nami później — odezwał się czujny Panienska, wskazując ruchem głowy pana Jana.

— W takim razie poprosimy chyba porucznik Husińską.

Porucznik Urszula Husińska pracowała w komendzie stosunkowo niedawno, była jednak w tej dziewczynie jakaś zawziętość i chęć pracy. Chodziła na wszystkie akcje obyczajówki, także wtedy, gdy nie musiała tego robić. Kilkakrotnie służyła za wabia. Jej mąż, pracujący w telewizji, równie rzadko jak ona bywa! w domu. Dziecko wychowywała babcia. Czasami zastanawialiśmy MC w komendzie, jak długo jeszcze oboje wytrzymają ten układ.

— Znowu rozpoznanie? spytała wchodząc i Mawiając na biurku duże pudło z kartami identyfikacyjnymi.

Pan Jan aż się zachnął na jej widok. Ula bowiem z wyglądu niewiele tylko różniła się od swoich podopiecznych i to było jej zaletą. Miała na sobie obcisłe dzinsy dobrze podkreślające jej zgrabne kształty. Poza tym biała kurteczka, którą miała narzuconą na ramiona, była niejako znakiem identyfikacyjnym profesji, którą się zajmowała. Jednak inaczej niż te, które zazwyczaj takie kurtki noszą. Spojrzała na pana Jana spod przymrużonych powiek.

— Wiek? — spytała.

— 55 lut, urodziłem się 5 października 1928 roku.

— Przecież nie pana.

— A aaaa... — wypuścił powietrze Docent. — Ta ruda mogła mieć 26. 27 lat, a jej koleżanka ponad trzydziestkę.

— Były dwie — wyjaśniłem Urszuli.

— Nie najmłodsze skonstatowała. — Jeśli to zawodówki, to powinny już prawie wychodzić z obiegu.

— Wręcz przeciwnie — zaprotestował z zażenowaniem Jan obie były bardzo atrakcyjne, zadbane i wyglądające na takie dla lepszych gości.

— Jest pan pewien, że to prostytutki, może wcale nimi nie były?

— Na pewno — obraził się Docent. — Bądź co bądź byłem długo w branży i ma się to oko.

— Ale czasy się zmieniają — odezwał się Płetwa. Teraz dziewczyny są zupełnie inne niż te, z którymi pan miał do czynienia.

— Nie szkodzi — z pobłażaniem wyjaśnił nasz rozmówca — mogą się zmieniać stroje, moda i makijaż, ale te dziewczyny zawsze są takie same.

— Dobrze się składa, że są już starsze, bo takich mamy w kartotece mniej niż młodszych, a poza tym większe jest prawdopodobieństwo, że mają coś na sumieniu i trafiły do kartoteki. Jeśli ich tu nie ma. będziemy mieli kłopoty z identyfikacją — Ula podsunęła Janowi pudło.

— Zostawiamy was samych — odezwałem się — jak coś znajdziecie, proszę mi powiedzieć. ...

— Jak wasze wersje? — spytałem moją dziarską brygadę.

— U mnie wychodzą płatki — odezwał się Niania. — Jak zwykle przy takich zmasowanych akcjach w środowisku handlarzy zatrzymaliśmy trochę spekulantów, kilku złodziejasków, ale trafiliśmy też na przerzut spodni sztruksowych z Zachodu. Na temat Zielonki zatrzymani w ogóle nic chcą rozmawiać. Co najwyżej przyznają się, że go znali.

— I ty, robaczku, już nic z nich nie potrafiłeś wycisnąć? — powątpiewał Płetwa. — Czy też chowasz jakąś bombę w zanadrzu?

Taką samą jak ty z tym swoim pomysłem upozorowania napadu rabunkowego.

— Ano właśnie — zaczął Płetwa. — Medycyna twierdzi, że bezpośrednią przyczyną śmierci było pęknięcie podstawy czaszki i wystąpienie gwałtownego krwotoku śródczaszkowego. Umarł prawic natychmiast. Myślę, że to nie zaprzecza mojej wersji, że nasz klient przyszedł, aby zabić, a później dopiero rozbebeszył mieszkanie.

— Jak dojdiesz do wniosku, że Zielonka został zastrzelony, to nie zapomnij nam o tym powiedzieć — przygadał Niania.

— Nianiusiu, twoja sprawność jest powszechnie znana. Opowiedz, czy byłeś wczoraj na spotkaniu z dziennikarką równie sprawny jak wtedy, gdy widziałeś ją pierwszy raz we Wrocławiu? — odgryzł się Płetwa nie zwracając uwagi na to, że nagła nabrzmiała na skroniach Niani żyły.

— Nie kłóćcie się — odezwał się milczący do tej pory Panienska — ja też niczego nie znalazłem prócz tego, że Magda wyciągała od rodziców pieniądze, aby stać się wielką damą. Chyba ona jednak nie wie, na czym to ma polegać. Poza tym stosunki w rodzinie były bardziej handlowe niż rodzinne. Rozliczali się skrupulatnie i nie mieli na ogół pretensji do siebie.

— Idziecie kanałami — spróbowałem podsumować. — Zostawcie to wszystko.

Niania i Panienska zaprotestowali ostro, każdy z nich nadal wierzył, że mimo wszystko jego wersja może okazać się prawdziwa. Nieoczekiwanie Płetwa poparł Nianię, uznając, że zabójca jest wśród handlarzy. Uradowany tym Niania zbeczelniał i patrząc na mnie z uśmiechem spytał niewinnie:

— Buldog, czy to przypadkiem nie ty wszedłeś w kanał? Obiecuje ci, że przeczytam każdy artykuł, który będzie nosił tytuł Kapitan Buldog opowiada.

Aby tak się stało, musiałbym jeszcze co najmniej kilka razy spotkać się z Anetą. Nie miałem nic przeciwko temu.

— Gotowe — wsadziła do naszego pokoju głowę Urszula. Mylił się i pocił, ale jedną z nich rozpoznał.

— Już idę — podniosłem się z krzesła przyjrząc się bliżej tej dziewczynie, a wy kotłujcie swoje wersje.

Gdy wszedłem. Docent bez słowa podsunął mi kartę identyfikacyjną.

— Ostatni raz zgodziłem się oddać panu przysługę, proszę już nigdy nie zwracać się do mnie w żadnej sprawie.

— Jesteś pewien, że rozpoznałeś właściwą dziewczynę?

— Tak, jestem pewien, a teraz dajcie mi raz na zawsze święty spokój,

— Będziesz go miał... ile tylko... zechcemy.

I zadzwoniłem, żeby zaprowadzono go do celi.

Kurewka trafiła do naszej kartoteki, jak wynikało z zapisu, sześć lat temu. Udało jej się wówczas okraść w „Metropolu” cudzoziemca, który złożył meldunek. Nazywała się Joanna Grzesiak.

— Co pani wie o niej więcej? — spytał Urszulę.

— Nic prócz tego. co jest w karcie. Jest spoza Warszawy i nigdy nie miała stałego zameldowania w stolicy.

— To można szukać jej w hotelach? Pani Urszulo — podlizywałem się — niech pani jeszcze podpyta swoje koleżanki z wydziału i spróbujcie jej razem poszukać. My też się za nią rozejrzemy.

— Może pan na mnie liczyć, panie Pawle — pozwoliła sobie na pufałość uszczęśliwiona, że znowu ma coś do roboty.

W drzwiach stanęła cała dzielna trójka moich współpracowników. Wyglądali jak trzej królowie spieszący z podarkami. Ale w rzeczywistości nie mieli nic do ofiarowania. Chcieli tylko powiedzieć, że wszyscy idą w teren.

— Znowu uczycie wykrętów Panienkę i chcecie się urwać z komendy.

Panienka swoim zwyczajem zaczerwienił się. a Płetwa i Niania zaczęli oglądać czubki swoich butów.

— Niania, masz szansę zrehabilitować się za swe wrocławskie rozboje. Myślę, że porucznik Husinska chętnie przyjmie twoją pomoc w rozpracowywaniu warszawskich prostytutek.

Moje słowa zrobiły wrażenie na Krzysztofie, oparł się ciężko o framugę i począł coś mamrotać pod nosem. Nie były to jednak zapewne dziękczynne modlitwy.

— Zostaw go w spokoju — bronił Płetwa — już wczoraj łaziliście razem po knajpach.

— Kto łaził, ten łaził. Ja w odróżnieniu od Pawła wróciłem na noc do komendy.

— Całą noc. Buldog, pracowałeś w terenie? — zdumiał się złośliwie Panienka.

— Zapominacie, że jest wśród was dama, nasze pogaduszki wyraźnie jej nie śmieszyły. Tym bardziej że nie wiedziała, o co chodzi. Ale ja już wiedziałem. Wczoraj wieczorem kelner w „Kongresowej” mówił o tandemie AA Jedna z nich nazywała się Aśka.

Płetwa spod oka przyglądał się zgrabnej figurze Husińskiej. Mogłem przypuszczać, o czym myśli, ale nie zarumieniłem się. Pomyślałem jednak, że mogę mu w tym pomóc.

— Skoro tak współczujesz Niani, to bądź tak łaskaw zastąpić go u boku pani Urszuli.

— Oczywiście zrobię to nie tylko z obowiązku... Łobuz nie traktował tego zbyt poważnie, bo wychodząc za Ulą zdążył się do nas odwrócić i puścić oko.

— To my już też pójdziemy — odezwał się Panienka.

— Jeśli będziesz dzisiejszej nocy również pracował, to nie zapomnij przekazać ode mnie pozdrowień podporze naszej telewizji — dodał Niania i wyskoczył z pokoju.

Ludzi poznaje się w pracy i Niania zdążył mnie dobrze poznać. Może zbyt dobrze. Podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem do telewizji. Nie była zaskoczona moim telefonem. To nie było jednak z jej strony zarozumiałstwo, po prostu znała życie. Może jednak trochę zdziwiła ją propozycja spędzenia drugiego z rzędu wieczoru w „Kongresowej”. Obiecałem jej, że zobaczy kolejny odcinek serialu Kapitan Buldog na

tropie. Zgodziła się, ale z jej głosu wywnioskowałem, że oczekiwała także czegoś innego, postaram się i w tym jej nie zawieść.

Na ranem knajpy zatracają swój charakter, tworzony przez bawiących się w nocy ludzi. Snuje się w nich jeszcze dym papierosów, zapach perfum, potu i przypalonych frytek. Jest w tym wszystkim jakaś nostalgia, jakaś romantyka. Za to wczesnowieczorne knajpy są ponure. W pustych lokatach wyraźniej niż o innych porach dnia widać sztuczność ozdób, poplamione, dawno nie malowane ściany, pokulawione stoły i lani blichtr tego wszystkiego, co dla niektórych gości stanic się wykwintną elegancją. Na podium dla orkiestry brzydka dziewczyna w okularach przy pulpicie z nulami starannie przekaligrafiowała utwór, który stanie się przebojem dzisiejszej nocy. Ona sama będzie zaś obiektem najpiękniejszych marzeń wielu podchmielonych mężczyzn. W kącie sali zgromadzeni kelnerzy obgadywali kolejny romans barmanki. Od dłuższej już chwili widzieli mmc i Anetę, jedynych gości tej godziny, którzy cierpliwie tkwili osamotnieni w bieli stolików.

— Po co mnie tu przywlokłeś? Czy uważasz, że tak jak każda para zakochanych musimy mieć swoją małą knajpkę? Bo ta na taką nie wygląda — Aneta rozejrzała się po olbrzymiej sali, pośrodku której pogwizdywała zepsutym kranem marmurowa fontanna.

— Mam to traktować jako wyznanie?

— Zgłupiałeś chyba. Mówiłam to wielu mężczyznom, a i ty nie wyglądasz na takiego, który nigdy tego żadnej nie powiedział.

— Jasne, że mówiłem. Z tym tylko, że za każdym razem głęboko w to wierzyłem. I dlatego beztroska Anety lekko mnie przerażała.

Wygnieciony kelner poplamioną szmatą strzepnął coś z obrusa.

— Czym mogę służyć?

— Dla mnie kawa i duży koniak, a dla pana to samo — zdecydowała za mnie.

— Nie — przerwałem — lekarz zabronił mi pić alkohol.

— Nic szkodzi, to ja wypiję — uradowała się niepoprawnie.

— Służę państwu — kelner chciał odejść od stolika, musiałem go zatrzymać — To mój informator powinien być podejść, tymczasem tego kelnera nie znałem. — Czy jest dziś pan Pawlak? Odwrócił się niechętnie.

— Będzie za godzinę, robi dzisiaj na noc — odrzekł i ciężkim krokiem odszedł do swych kolegów.

— Kotek, byłeś dzisiaj u lekarza? Wczoraj ci jeszcze koniaczek wchodził, o ile dobrze pamiętam.

— Nie — odrzekłem — ale zaprosiłem cię tu do roboty, a nie na wódę.

— Jak na mój gust jesteś za bardzo tajemniczy i boję się, że będę się dzisiejszej nocy nudzić.

Tym razem bardzo się pomyliła, ale jeszcze oboje o tym nie wiedzieliśmy.

— Przepraszam powiedział kelner stawiając kawy i cztery małe koniaki.

— To są podwójne? — spytałem patrząc na niego.

— Zawsze podajemy w małych porcjach — obraził się.

Anecie wyraźnie to się spodobało.

— To w takim razie niech pan przyniesie jeszcze raz to samo, ale już bez kawy. bo mojemu przyjacielowi szkodzi na serce — uśmiechnęła się do mnie radośnie. Odczekawszy, aż kelner odszedł od stolika, dodała:

— Mogę się chyba dzisiaj upić, czując się bezpiecznie w towarzystwie gliniarza, nawet jeśli ta glina nie potrafi wypić i jest tak nudna jak ty?

— Nie zamówisz już następnej kolejki, chyba że chcesz zaraz pojechać do domu.

— Kotek, nie przesadzaj, wiesz, że twoja praca mnie fascynuje i przebywanie w towarzystwie tak szalenie interesującego mężczyzny jak ty tylko nu schlebia...

Wyraźnie się ze mną próbowała drażnić. Ale była zaciekawiona do tego stopnia, że nie wypła wszystkich przyniesionych przez kelnera kieliszków. To dawało mi nadzieję.

Potem przymilała się. przycinała mi, bawiąc się moim kosztem. I choć nie było to dla mnie przykre, nie potrafiłem w tym być jej pa noc rem Coraz, bardziej się niecierpliwiłem.

— Państwo prosili o rachunek? Pawlak stał obok stolika.

— Obejrzyj to — podałem mu zdjęcie Joanny Grzesiak. — Znasz ją?

— To właśnie Aśka. o której wczoraj... — spojrzał pytająco na Anetę.

— Nie krępuj się, jesteśmy w rodzinie, ale oszczędzę ci prezentacji — powiedziałem i pomyślałem, że od tej chwili ilekroć Aneta wstąpi do „Kongresowej”, będzie doskonale obsłużona.

— No. to jest właśnie Aśka. tylko jakaś taka młodsza, pewnie dawno to zdjęcie robiła.

— Często tu przychodzi?

— Nigdy nie jest sama. zawsze z Anką. to są specjalistki od grupowych baletów i stąd ich nazwa „tandem AA”. Lubią się z kimś związać i wtedy ich nie ma tygodniami. Mogą tutaj być wieczorem, a równie dobrze mogą się zjawić za kilka dni lub tygodni, ale przedwczoraj nie widziałem, żeby się załapały, więc może będą i dzisiaj. Tylko że jeszcze na nie za wcześnie. Jeśli teraz czegoś próbują. to mogą być w „Arabi-ce” i polować na prywaciarzy.

— A teraz powiedz, jak to było z tą obrączką

— Tak. jak mówiłem.

sic Pamiętam, co mówiłeś. Czy ten facet miał rzeczywiście tak dużo pieniędzy przy sobie?

— Pan Piotruś? — pomyślał chwilę. — Nie bardzo, bo inaczej nie próbowałby płacić obrączkę — umilkł przestraszony.

— Zabrakło mu do zapłacenia rachunku?

— Tak, kilka stówek — przyznał niechętnie.

— Siadaj — odsunąłem krzesło. — Wczoraj powiedziałaś, że ten pan Piotruś szastał pieniędzmi i stał dziewczynom. a dziś mówisz, że był goły. Dawaj tę obrączkę.



Pawłak spłoszonym wzrokiem popatrzył po sali, ale nikt na nas nie zwracał uwagi, tylko brzydka dziewczyna w okularach próbowała kilka akordów— na elektrycznych organach.

— Ja? — próbował się zdziwić.

— Daj — wyciągnąłem rękę.

— Nie mam jej przy sobie...

— Słuchaj, kelner, zabito człowieka, rozumiesz?

To do niego trafiło. Ręce Pawłaka pod obrusem zaczęły wykonywać gwałtowne ruchy. Po chwili wysunął dłoń na której leżała obrączka.

— Po ile dałeś?

— Osiemset za gram — odrzekł i raptem się poskarżył: — Drogo.

— Jutro dostaniesz pokwitowanie, a teraz przyjmij rachunek.

Kelner wstał i zawodowym gestem pochylił się nad stolikiem.

— Dwie kawki i osiem małych koniaczków, razem 3750 złotych.

— Drogo — poskarżyła się milcząca dotąd Aneta.

„Na szczęście — pomyślałem sobie — oficerowie milicji nie zarabiają najgorzej”. Pawłak sprawnie zainkasował należność i z ulgą odszedł.

— Nie wiedziałam, że macie takie metody pracy — odezwała się Aneta. Zauważ, kolek, że nie zadaję ci żadnych pytań, ale powiedz, czy pojedziemy teraz do „Arabiki”?

To właśnie miałem jej zaproponować.

Warszawskie knajpy są jak kobiety. Gorzej lub lepiej utrzymane starają się przymamić swym wyglądem i strojem. Każda ma swoje grono wielbicieli. Najgorsze są te, które pozbawione jakiegokolwiek wyrazu służą przypadkowym klientom do krótkiego odpoczynku. „Arabica” była miejscem spotkań wszelkiej maści geszefciarzy. I u przede wszystkim załatwiała się interesy. Wszystko można było kupić i sprzedać. Z ręki do ręki przy stolikach przechodziły każdego wieczoru olbrzymie sumy. Dwupoziomowa knajpa przyciągała przyćmionymi światłami i czerwienią obie ludzi u nic najwyższych wymaganiach estetycznych. Zawsze jednak mieli oni pieniądze. Siad leż wokół nich kręciły się dziewczyny, które być może nie zaliczały się do szczytu hierarchii zawodowej, niemniej jednak dochody każdej z nich kilkakrotnie przekraczały roczne zarobki dyrektora.

Gdy usiedliśmy przy stoliku w górnej sali niedaleko wejścia, Aneta z całkowitym spokojem zamówiła podwójny koniak.

— Co prawda dziennikarze zarabiają mniej niż policjanci, ale choć zazwyczaj nie piją, to dziś koniak wyjątkowo im smakuje. Nie gniewaj się, kotek, to może być już ostatni. Przy tym koszmarnym upale dobrze jest rozszerzyć sobie naczynia, ale widzę, że twojej panienci jeszcze nie ma i będziemy musieli poczekać.

— Nie będziemy czekać. To chyba one — wskazałem brodą drzwi.

Docent miał jednak racje. Jest w tych dziewczynach coś takiego, że nawet gdyby nie wiem jak się starały, to każdy mężczyzna bezbłędnie rozpozna zawód, jaki uprawiają. Nie spodziewałem się, że tak łatwo je znaję. Graniczyło to nieomal z cudem,

— Słuchaj. Aneta — zacząłem mówić szybko — pójdę teraz na zaplecze, a ty spróbuj je zatrzymać. Najlepiej jak po prostu urządzisz awanturę. Przy twoim dzisiejszym stanie ducha nie przyjdzie ci to ze zbyt wielkim trudem.

— Nie dam rady — szepnęła spłoszona.

— Musimy je mieć i dzisiaj zagrasz swoją największą rolę. Potrafisz to zrobić i zrobisz — dodałem z naciskiem.

— Poczekaj.

Myślała chwilę, po czym jednym haustem przechyliła stojący przed nią kieliszek koniaku.

— Spróbuję, ale jeśli mi nie wyjdzie, nie miej do mnie pretensji.

— Musi wyjść. Są tam przy barze.

— Widzę — odrzekła, sięgając po torebkę. Nic już nic mówiąc wstałem i poszedłem na zaplecze. Gdy wylegitymowałem się, właścicielka zakładu bez słowa udostępniła mi telefon. Podporucznik Husińskiej nie było w komendzie. Obiecano podesłać pod „Arabice” radiowóz i ewentualnie odnaleźć Ulę przez radio.

Wróciłem na salę. Aneta nie zdecydowała się jednak na awanturę. Wyszedł z niej cały kobiecy spryt i perfidia: była teraz najlepsza przyjaciółką tandemu AA. Podszedłem do nich. Przedstawiła mnie jako swego narzeczonego. Zdenerwowanie Anety objawiało się w kolejnych wypijanych przez nią kieliszkach koniaku. Aśka i Anka popijały powoli chłodną coca—colę. Były zbyt wielkimi rutyniarkami, aby nie wiedzieć, że niektórzy z klientów nie tolerują pijanych prostytutek. Zacząłem się denerwować, czemu nie ma jeszcze radiowozu. Przeprosiłem dziewczyny i powtórnie udałem się na zaplecze. Powiedziano mi, że porucznik Husińska już powinna być na miejscu. Gdy odłożyłem słuchawkę, zaatakowała mnie niespodziewanie właścicielka knajpy. Chwilę to trwało, zanim udało mi się ją uspokoić i przekonać, że nie ściągamy tu radiowozu, aby zapudłować wszystkich jej gości i pracowników. Gdy wróciłem na salę, wśród zgromadzonych gości, wyraźnie czymś podekscytowanych, nie było ani Aśki, ani jej koleżanki. Aneta też gdzieś zniknęła. Nie miałem już tutaj nic do roboty i spróbowałem wyjść. Zatrzymał mnie głos barmanki:

— Ta pani nie zapłaciła rachunku.

Licząc wypite przez Anetę koniaki pomyślałem sobie, że nawet pensja oficera milicji nie pozwala na dłuższe przebywanie w towarzystwie niektórych dziennikarek. Zadzwoiłem do komendy. Powiedziano mi, że dziewczyny z „Arabiki” zostały „zwiniete” przez porucznik Husińską. Zapowiadała się pracowita noc. Telefon w mieszkaniu Anety nie odpowiadał, widocznie nie zdążyła jeszcze dojechać.

Zatrzymanie poszukiwanych prostytutek postawiło całą naszą grupę na nogi. Niania, Pletwa i Panienska zostali odszukani i ściągnięci do komendy. Spodziewaliśmy się, że w każdej chwili możemy uzyskać informację, która pozwoli na zidentyfikowanie mordercy. Cały czas pamiętaliśmy o tym, że zabójca ma nad nami dwa dni przewagi.

Dziewczyny pozostawały jeszcze pod opieką porucznik Husińskiej, która przy okazji próbowała wycisnąć z nich informacje interesujące wydział walki z nieprawem. Sam taki przewiezienia zatrzymanych do

pałacu Mostowskich, a nie do którejś z dzielnicowych komend, był dla nich na pewno sygnałem, że tu chodzi o poważną sprawę. Rozmowy z nimi nie będą przypominać wersalu. Nie będą też łatwe. Jak zwykle, gdy mieliśmy do czynienia z ważnymi świadkami, prowadziliśmy rozmowy cała czwórka. Nie było to ani przyjemne, ani też wygodne dla przesłuchiwanym. Było jednak skuteczne i wygodne dla nas.

Pierwszą doprowadzono nam Annę Kulczyk. Była przybrana w najbardziej skromną i niewinna minkę, jaką sobie mogła wyobrazić. Niczego nie rozumiała.

—Panie kapitanie mówiła zwracając się do Panienki — ja doprawdy nie wiem. o co chodzi To jakaś potworna pomyłka, proszę mnie zwolnić, bo na mnie czeka mąż w domu i pewnie się szalenie denerwuje... Odwróciłem się od okna. Poznała mnie.

— Skąd miałyście sygnet z herbem Ostoi? spytałem.

— To jakieś straszne nieporozumienie, przecież pan sam najlepiej wie. Juk to było i odwracając się tym razem do Płetwy mówiła dalej:

— Wracając do domu spotkałam Joasię, której nie widziałam już cztery lata i wstąpiłyśmy na coca—colę do „Arabiki”. Ten pan nas tam widział, chcieliśmy poplotkować, bo ja... spodziewam się dziecka...

Płetwa nie wytrzymał. — Słuchaj, druciara, powiedz nam spokojnie, skąd miałyście ten pierścionek?

— Ale ja naprawdę mogę przynieść zaświadczenie, że jestem w ciąży.

— Możesz przynieść sto zaświadczeń — zdenerwował się Niania — ale dopóki nie zajrzy ci tam nasz lekarz, możesz sobie nimi tapetować ściany. Nie ściągaliśmy ciebie po to aby rozmawiać o tych nieszczęśliwych miłościach i wyskrobanych dzieciach.

— Ty bucu! — wrzasnęła zdenerwowana. Jak chcesz ze mną rozmawiać, to musisz wiedzieć, o czym, póki co — nic nie wiem. nigdzie nie byłam i nic nie widziałam.

Przerwałem te pogaduchy widząc ich bezsens.

— Posiedzisz u nas trochę I pamiętaj. że z tobą jest tak długo dobrze, jak długo chcemy rozmawiać. kiedy my przestaniemy, zajmie się tobą prokurator, ale przedtem wszystko dokładnie sobie przypomnisz. Dajcie Aśkę.

Przez chwilę Niania mógł dreptać swym zwyczajem po pokoju, a Płetwa demonstrować sztukę puszczenia już sześciu kształtnych kólek. W pokoju stał nieruchomo papierosowy tuman. W bezwietrzną, duszną, i gorącą pogodę niewiele pomagały otwarte okna. Panienka wyraźnie znosił ten upał najgorzej z nas wszystkich. Wachlował się gazetą i często wychodził z pokoju, aby przemyć twarz zimną wodą. Zresztą wszyscy byliśmy już zmęczeni. W ciągu ostatnich dni nie udało nam się za długo pospać.

Aśka ubrana była ze spokojną elegancją.

— Dobry wieczór panom — powiedziała stając nieruchomo pośrodku pokoju i patrząc na nas dużymi łagodnymi oczyma spłakanej sarny.

— Proszę usiąść — powiedział uprzejmie Panienka, jedyny z naszego zespołu, który mógł się jeszcze nabrać na jej wygląd — i opowiedzieć nam jak weszła pani w posiadanie pierścionka z herbem Ostoi.

Milczała.

— Słyszałaś pytanie? — powiedział ostro Płetwa.

— Proszę nie podnosić na mnie głosu, a poza tym chciałabym, by przestrzegał pan obowiązujących form.

— Dobrze. Wobec tego powiedzcie nam obywatelko — Niania zaakcentował to słowo w taki sposób, że nadał mu zupełnie inne znaczenie — jak weszliście w posiadanie nadmienionego sygnetu — patrzył na nią kpiąco.

— Nie muszę się panom z tego tłumaczyć.

— Nie musisz, ale powinnaś — odezwałem się spod okna — potrzebny jest nam ten pierścionek i człowiek, który ci go dał. Możesz nic nie powiedzieć, ale wtedy pomyślimy sobie, że masz coś do ukrycia i zaczniemy grzebać wokół ciebie. Gwarantuję ci, że wówczas, gdy stąd już wreszcie wyjdiesz, nie będziesz miała do czego wracać.

— Zupełnie nie rozumiem, o czym pan mówi — była spokojna i zdecydowana.

Podobnie jak i Anka szła w zaparte Robiła to w zupełnie innym stylu i zupełnie inaczej, ale skutek był ten sam Wiedzieliśmy, że tak długo, dopóki nie zdadzą sobie sprawy z sytuacji, w jakiej się znalazły, nie powiedzą ani słowa. Musiały jednak mieć czas na zastanowienie się. Sygnet z Ostoją był praktycznie rzecz biorąc jedynym niezaprzeczalnym śladem. Musieliśmy nim pójść, a one musiały nam go dokładnie wskazać, tyle tylko, że teraz muszą mieć. kilka godzin na skrzeszenie. '.

— Wyprowadzić — powiedziałem.

Aśka wstała bez protestu i wyszła z pokoju równie godnie, jak doń wkroczyła.

Teraz nadarzyła nam się okazja, aby na kilka godzin przysnąć. Powiedziałem to całemu zespołowi. Panienska i Niania wydawali się z tego zadowoleni, tylko Płetwa z żalem powiedział:

— Mam na Żoliborzu faceta, z którym rozmawiałem i wydaje mi się, że coś zaczyna śmierdzieć wokół pana Mundka...

Gdzieś na korytarzu słychać było podniesione głosy.

— Chcę wam podgotować to na jutro. Niania spojrzął na zegarek, a potem bezradnie rozejrzał się po pokoju.

— Chyba jakoś tu się ulokujemy, nic ma już co wracać do domu.

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła porucznik Husińska. mijając się w drzwiach z Płetwą, który wyjrząwszy na korytarz cofnął się gwałtownie zamykając za sobą drzwi.

— Niania — powiedział — chyba ktoś do ciebie.

A Urszula, która dopiero teraz mogła coś powiedzieć, z niepokojem spytała:

— Panie kapitanie, czy ta trzecia nie będzie dziś przesłuchiwana?

O Boże! Już wiedziałem, dlaczego telefon Anety nie odpowiadał. Wybiegiem na korytarz i chłopcy mogli usłyszeć wpiery głosne plaśnięcie siarczystego policzka, a później stek zupełnie niecenzuralnych przekleństw.

Nie spałem tej nocy w komendzie: gdy rano się ubierałem, pomyślałem, że chcąc zostać z Anetą na dłużej będę musiał zacząć oszczędzać.

## DZIEŃ CZWARTY

---

Przechłostane ciężkimi kroplami deszczu ulice nie wyzbyły się słońca i zapachu spalin. Mimo panującej duchoty i nieprzespanej nocy było mi cudownie lekko. W komendzie czekali już na mnie zdenerwowany Niania i dziwnie rozkojarzony Panienska. .

— Szef czeka na ciebie — Panienska popatrzył na mnie współczująco.

— Pewnie coś się nie zgadza w aktach — stwierdziłem. — Jak któryś z was czegoś nie dopilnował albo o czymś zapomniał, to nieszczęsna jego godzina.

Obaj jak na komendę wzruszyli ramionami. Nie, oni są doskonali i nigdy takich błędów nie popełniają

— Płetwa jeszcze nie wrócił? — spytałem i nie czekając na odpowiedź, dodałem: Czekajcie, co się urodzi.

Wszedłem do gabinetu szefa.

— Kapitanie Rukat — odezwał się ledwo stanąłem w progu — czwartego dnia śledztwa wasze wyniki równe są zeru. Sekcja popełnia podstawowe błędy. A potem przechodząc na cieplejszy ton spytał:

— Czy wyście przypadkiem nie powariowali, do cholery?

— O co chodzi?

— Czytałeś to — popchnął w moją stronę naszą radosną twórczość. — Przecież ty to kompletowałeś i ty za ten burdel odpowiadasz. Znasz moją teorię, że mordercę spotyka się w pierwszych godzinach śledztwa.

— Wszyscy ją znają.

— I zwykle się sprawdza. Jeśli okaże się, że ten, którego przeoczyliście, jest zabójcą, zdejmę cię z kierownictwa sekcji.

— A kto nim miałby być twoim zdaniem?

— Kominiarz, który nic został sprawdzony. A może ja po prostu o tym nie wiem? Zbadał ktoś i« sprawę?

Miał to zrobić Panienska. Panienska, który pierwszego dnia śledztwa nie myślał o niczym innym tylko jak tu się wyrwać do domu— Ale szef nie musiał o tym wiedzieć. To ja byłem za to odpowiedzialny.

— Nikt tego nie ruszał, zaraz ktoś to zrobi.

— Obym nie miał racji. Powiedz teraz, co do tej pory uzyskaliście?

Powiedziałem mu. Nic znalazł tym razem w tym. cośmy zrobili, żadnego błędu. Nadal jednak uważał, że się guzdrzemy.

— Jest w tej sprawie coś dziwnego. Nie wiem, czy zauważyłeś. Buldog, że Zielonka był cucony. Z protokołu oględzin wynika, że wokół głowy była duża krwawa plama, tymczasem sekcja wykazała, że krwawienie było niewielkie. To by wskazywało, że morderca po zabójstwie przypuszczał, że Zielonka może jeszcze żyć i próbował go cucić.

— Ja też na to zwróciłem uwagę i dlatego nie bardzo wierzę Płetwie, który sądzi, że zabójca przyszedł, aby zabić i później upozorował rabunek. Chyba jednak chodziło tu przede wszystkim o kosztowności, które były w mieszkaniu Zielonków.

— To jest tylko bardziej prawdopodobne, ale to nie jedyny z możliwych motywów podsumował szef. A poiem jak zwykle kazał przyspieszyć tempo. I to było już takie jego zwyczajowe szefowskie głędzenie.

Nie zdążyłem jeszcze wejść do pokoju, w którym siedziała cała nasza ekipa, gdy zaatakował mnie Płetwa.

— Słuchaj. Buldog, mam informację o naszym panu Mundku...

— Poczekaj — zatrzymałem go — wpierw mam do porozmawiania z Panienką. Słuchaj. Jacek — zacząłem co to był za kominiarz w domu Zielonków?

— Kominiarz? — spytał Panienska wyraźnie nie pamiętając, o co chodzi.

— Póki co — jesteś tu przede wszystkim od tego, aby wykonywać moje polecenia, a nice myśleć tylko o swojej babie i chyba uczyli cię. do cholery, że jeśli się trafia na ślad. to trzeba go zawsze do końca sprawdzać.

Teraz już Panienska przypomniał sobie swoją, rozmowę z jednym z lokatorów, który opowiadał o wizycie kominiarza w domu Zielonków.

— Nie stój tu niepotrzebnie, tylko natychmiast leć sprawdzić, skąd on się tam znalazł.

Gdy Panienska wybiegł z pokoju, odezwał się Niania:

— Nie bądź dla niego za ostry, każdy z nas może popełnić błąd.

— Nie może. nie robimy w sklepie z warzywami, tylko w zabójstwach. Co masz? —zwróciłem się do niecierpliwie czekającego Płetwy.

— Mundek był na miejscu zabójstwa dokładnie wtedy, gdy to się stało.

—Co? — Niania przerwał swój bezustanny spacer. Mnie aż podniosło.

— I dopiero teraz mi to mówisz?

— Przecież dowiedziałem się tego dopiero dzisiaj w nocy i dopiero po tym. jak Buldog dostał po pysku.

— Kto go widział? — udałem, że nie zwróciłem uwagi na ich z nagła rozradowane gęby

— Znalazłem klienta, niejakiego pana Tadzia, który tego dnia nie chciał pożyczyć Mundkowi samochodu, ale zgodził się go podwieźć. Prosto pod dom Zielonków. Następnego dnia Mundzio zaprosił swego koleśia na wódkę tylko po to aby go uprosić, żeby zapomniał o tej przysłudze.

— I co? — zapytał Niania, znowu krążąc po pokoju.

— A ja poprosiłem pana Tadzia, żeby sobie to przypomniał i nawet go nie musiałem mocno naciskać. Zdaje się, że ten Mundzio nie ma najlepszej opinii wśród swych znajomych.

— To co, mamy sprawcę? — zachwycił się Niania i znowu przerwał swój spacer. Nie wytrzymałem.

— Mielicie już jednego we Wrocławiu i nic z tego nie wyszło.

Płetwa był wyraźnie zadowolony z odwalonej przez, siebie roboty.

— Jak to nic nie wyszło? Nasz kierownik dostał po mordzie, to też coś warte — wyraźnie domagał się pochwał.

— W porządku, macie szefa od brania po pysku, ale teraz macie zapudłować Mundka i zrobić u niego dokładne przeszukanie, dokładne. Płetwa, musimy wiedzieć wszystko o naszym panu inżynierku Dobierzesz sobie ilu chcesz ludzi do pomocy. Nie powinno być z nim kłopotów, bo to tchórz i mięczak. Niania, poproś, żeby dali nam tymczasem Aśkę. powinna już chcieć mówić.

Nie pomyliłem się. Gdy Joanna Grzesiak weszła do pokoju i usiadła na wskazanym jej krześle, wiedziałem już, że powie nam wszystko.

— Przypomniałaś już sobie, skąd masz ten pierścionek? — zaczął Niania.

— Tak, dał mi go Piotrek w „Kongresowej”, żebyśmy, to znaczy Anka i ja sprzedały go. Miało być tak, że policzył nam po siedemset złotych za gram złota. a wszystko, co więcej, miało być dla nas.

— Nie udało wam się sprzedać na Pradze. Gdzieście go sprzedały? — ciągnął Niania.

— Wcale go nie sprzedałyśmy, bo facet, do którego pojechałyśmy, dziwnie się zachowywał i zorientowałyśmy się, że milicja szuka tego sygnetu. Nie było sensu próbować gdzie indziej.

— Gdzie go masz?

— W domu. ale jeśli wam na nim zależy, to pozwólcie mi pojechać tam samej, bo nie chciałabym, żeby mąż się czegoś domyślił.

— Dobrze — zgodziłem się — a teraz nam powiedz, w jaki sposób miałaś przekazać pieniądze Piotrkowi?

— Powiedział, że mam je zawieźć jego dziewczynie. Takiej jednej Wieśce na Targówku.

Zainteresowało mnie to. Spytałem, czy zna adres. Pamiętała go. Był to adres domu Zielonków.

Podniosłem słuchawkę i poprosiłem porucznik Husińską. Gdy weszła do pokoju, powiedziałem jej, o co chodzi.

— Pojedziecie razem, przywieziesz. Urszula, ten sygnet, a gdyby się okazało, że nie ma go w mieszkaniu — wróćcie tu razem.

Aśka wyszła bez pożegnania.

— To co. Bulldog, przejedziemy się na Targówek?

Niania zaczął szykować się do wyjścia, gdy wpadł Panienka.

— Rozmawiałem z kominiarzem. Tam na Targówku są piece kaflowe. Miał robotę w jednym z mieszkań, lokator to potwierdził— Był u niego koło szesnastej, ale w kamienicy nie działo się nic takiego, co by zwróciło jego szczególną uwagę.

—Panienka, sprawdziłeś wszystko dokładnie?

— Tym razem mucha nie siada. Kominiarz był prawdziwy, zatkany przewód kominowy także. Mało nie musiałem włączyć na dach. żeby pogadać z tym kominiarzem, ale on też jest czysty — Panienka był wyraźnie zadowolony z tego, że mimo wszystko jego wpadka nie była tak duża, jak się na początku wydawało.

— Odpocznij sobie. Panienka, po tym opalaniu się na dachu. Jedziemy z Nianią na Targówek, po face-ta, który dał sygnet dziwkom. Może go tam zastaniemy.

Na schodach przed drzwiami mieszkania Wiesi byliśmy wraz z kilkoma funkcjonariuszami. Budynek też był obstawiony. Wiedzieliśmy, że chłopak Wieśki. Piotr, musi znać mordercę, bo miał sygnet, o którym Zielonka twierdziła, iż zginął po morderstwie. Gdy tylko uchylili się drzwi. Niania odepchnął przerażoną Wieškę i wbiegł do mieszkania. Byłem tuż za nim. W drobnomieszczańsko urządzonym pokoju przymykało się z wolna wieko tapczanu— Bez chwili zastanowienia Niania skoczył nań szczupakiem. Jego ciało zgniotło materac, docisnęło sprężyny, które nie wytrzymały nagłego obciążenia i ugięły się. Z tapczanu rozległ się okrzyk bólu.

Przez chwilę w pokoju panowała martwa cisza. A potem zaczęło się dziać kilka rzeczy jednocześnie. Dwaj funkcjonariusze pochycili za ramiona Wieškę, która płacząc próbowała podbiec do tapczanu i stanęli wraz z nią w drzwiach. Leżący na tapczanie Niania przewrócił się na plecy, wydobywając jednocześnie spod kurtki broń. Ja również z bronią w ręku stanąłem obok okna.

Dopiero teraz Niania wstał z tapczanu i spokojnie rozkazał:

— Wychodź powoli. Piotrek.

Wieko tapczanu uchyliło się i wyjrzała z niego szczupła, zrezygnowana twarz chłopaka.

— A mówiłam. Marek, mówiłam — powtarzała, płacząc rozdzierająco, trzymana przez milicjantów Wieśka.

— Stój spokojnie — Niania jednym szarpnięciem obrócił go do ściany, oparł o nią i zrewidował. Dopiero teraz, gdy nic nie znalazł, schowaliśmy broń.

— Kto ty jesteś? — spytałem. Przeraźliwie chudy, ubrany w zniszczone dzinsy chłopak patrzył z wściekłością i uporem w okno. Milczał.

W pokoju słychać było tylko płacz Wieśki. Jej czarne włosy, rozrzucone w nieładzie, zakrywały całą głowę. Chude ramiona wstrząsane spazmami jeszcze bardziej podkreślały tragedię, jaką przeżywała. Trzymający ją milicjanci wyglądali teraz równie groźnie jak śmiesznie. Marek podrzucił głową.



—Wyprowadźcie mnie stąd, a ty, głupia, przestań się mazać. Nie zróbcie jej krzywdy. Ona nie wiedziała, że tu przyjdę.

Wieśka, pozostawiona przez milicjantów, którzy skuwali teraz ręce chłopakowi, patrzyła na niego ze strachem.

—Zawsze to samo. Daj nam wreszcie odpocząć od siebie.

— To taki sam mój dom, jak i twój — odrzekł przechodząc w towarzystwie milicjantów obok niej. Nic na to nie poradzisz, że masz takiego brata.

Niania i ja zostaliśmy w nagle opustoszałym mieszkaniu sami ze spokojniejszą już, ale ciągle jeszcze bardzo zdenerwowaną Wieśką.

—To twój brat? — spytałem.

—Szukacie go przecież od ponad dwóch tygodni. Uciekł z poprawczaka. Dzielnicowy przychodzi tu prawie każdego dnia. pytając o niego.

— Gdzie jest twój Piotrek? — spytałem, podczas gdy Niania metodycznie zaczął przeszukiwać pokój.

— Czego panowie chcecie ode mnie? — zaczęła znowu płakać. — Wpierw zabieracie mi brata, a teraz pytacie o mego chłopca.

Zdałem sobie sprawę, że jest w niej coś takiego, co każe wierzyć w jej nieświadomość wydarzeń, w których się znalazła.

— Proszę posłuchać, wiemy, że pani narzeczony — to „pani” było specjalnie dla niej — miał w ręku pierścionek, który należał do pana Zielonki

— Dlaczego pan tak mówi? Dlaczego? — skoczyła do mnie i zaczęła okładać mnie pięściami. Poddałem się temu bezwolnie. Ta mała wyglądała, jakby przed chwilą, zawalił się jej świat. Niania patrzył na tę wienę spokojnie, trzymając w ręku jakieś papiery. Dopiero gdy napięcie z dziewczyny opadło, gdy siadłszy na tapczanie rozplakała się, podsunął jej fotografię pytając:

— To jest Piotrek? Kiwnęła potakująco głową.

Teraz Niania podał tę fotografię mnie. Był na niej chłopak, którego rysopis podali wcześniej kelner i Aśka.

Jeszcze przed chwilą pragnąłem, aby nie była to prawda. Tymczasem Niania wygrzebał spośród tandetnych dziewczęcych ozdóbek, przechowywanych przez Wieśkę w porcelanowym puzderku, gruby złoty łańcuszek.

— Skąd pani to ma? — Niani też było żal tej dziewczyny,

Patrzyła nań chwilę, a potem wydukała:

— Od Piotrka.

Na jednym ze zdjęć, powiększeniu zwykłej legitymacyjnej fotografii, była dedykacja: *Kochanej Wiesi na pamiątkę Piotr.*

— Kiedy on ci go dał?

— Nie powiem, niczego już panom nie powiem.

Ten dziewczęcy upór łatwy był do przełamania Nie chciałem jednak traktować Wiesi zbyt ostro Ale tylko ona mogła nam pomóc w posunięciu śledztwa naprzód. Musieliśmy ją zatrzymać. Raptem poczułem wstręt do samego siebie — wolałbym tego wszystkiego nie robić.

— Ładny? — Panienska podał mi ciężki sygnet z herbem Ostoi. — Urszula przywiozła, a Aśkę zostawiła w domu. Ankę zwolniłem — rzucił niewiadomo czemu zadowolony z siebie.

Był to trzeci już przedmiot pochodzący z mieszkania Zielonków. Niania rozsiadł się wygodnie i nalewając sobie „Mazowszanki” powiedział

— Dajmy sobie chwilę przerwy, zanim zaczniemy rozmawiać z Wiesią.

Pomilczał moment, a potem dodał:

— Biedna mała,

I zaczął opowiadać Paniencie, co się wydarzyło. Telefon musiał zadzwonić trzy razy. abym mógł zebrać się i podnieść słuchawkę.

— Rukat. Słucham!

— To ty. kotek? Z trudem można cię znaleźć, co ty robisz, że cię w ogóle nie ma w pracy? Wiesz, na dzisiejszy wieczór Jolka zaprasza mnie na kolację. Bardzo prosiła, że bym koniecznie cię przyprowadził. Jej mąż robi doskonały chłódnik, możesz mi wierzyć, że jeden z najlepszych w Warszawie...

Do pokoju wszedł dyżurny. Zobaczył, że rozmawiam przez telefon i powiedział coś Niani, który podniósł się gwałtownie i, nie zwracając uwagi na moje potakujące pomrukiwania w słuchawkę, powiedział głośno:

— Mamy nowego trupa na Pradze.

Nie słuchając dalej tego, co mówiła Aneta, spytałem:

— Jaki adres?

— Oni mieszkają na Kole i nigdy nie pamiętam, jaka tam ulica, ale jak po mnie przyjedziesz, to cię popilotuję i pokażę, gdzie to jest... — nie ustawała Aneta.

Dyżurny podał adres, który spowodował, iż bąknąłem do telefonu „przepraszam” i położyłem słuchawkę.

— Jak się nazywa zamordowany? — chciałem się upewnić.

Nie rozumiejący mego podniecenia dyżurny spojrzął na trzymaną w ręku kartę i przeczytał:

— Jan Szukałewski.

— Przecież ja go wczoraj zamknąłem, jest u nas na dole, to jakaś pomyłka.

— Kogo zamknąłeś? spytał spanikowany Panienska.

Docenta, którego wszyscy wczoraj widzieli, chyba wiem. co robię.

Panienska wstał i zwracając się do dyżurnego powiedział dziwnym, zdrewniałym głosem;

—Możecie odejść, dziękuję, zostawcie nas samych. A gdy ten zamknął za sobą drzwi, stanął przede mną i tym samym tonem, z determinacją, powiedział:

—Zwolniłem go godzinę temu do domu. I stał tak sam nie wiedząc, na co czeka.

Byliśmy już w samochodzie, gdy dogonił nas meldunek, że Docent żyje i w ciężkim stanie przewieziono go do szpitala na Bródnie. Gdy tam dojechaliśmy, okazało się, że Szukałewski jest na bloku operacyjnym i trzeba czekać, aż doktorzy skończą swoją robotę.

Było to bardzo długie czekanie. Docent, widać, nie bez powodu bał się tego zatrzymania. Znowu ktoś pomyślał lepiej ode mnie. Niania i Panienska milcząc dyszeli na sąsiednich krzeselkach. Zwolnione w cierpieniu tempo szpitalnego życia rozleniwiało nas. Ale na to nie mogłem sobie pozwolić.

—Zostaniemy tu z Panienką, a ty, Krzysztof, sprawdź, czy ekipa niczego nie przeoczyła na miejscu napadu. Po powrocie do komendy powiem ci, co z Docentem, ale to ty od tej chwili prowadzisz tę sprawę.

Niania nie był zachwycony, a Panienska, który od dawna czekał na swoją pierwszą samodzielną sprawę, tym razem wiedział, że po prostu nie może jej dostać.

Z bloku operacyjnego wysunął się stół, który sprawne pielęgniarki szybko przetoczyły do sali opatrzonej napisem „Oddział intensywnej terapii”. Oznaczało to, że z Docentem nie jest najlepiej, ale jest szansa, że będzie żył.

Po chwili w ślad za nimi wyszedł zespół lekarzy którzy operowali Szukałewskiego. Jeden z nich zatrzymał się przy nas.

—Panowie z milicji?

Każdy by na to wpadł. Można się było pomylić patrząc na Panienkę, ale nie na mnie. Za długo tkwiłem w tym wszystkim.

—Jaki jest stan Szukałewskiego?

—Trudno jeszcze powiedzieć coś konkretnego. Dostał nożem w samo serce i był to dość silny cios. Tak silny i źle zadany, że pękło ostrze. Zresztą to go tylko uratowało, że zostało ono w sercu.

—Przywieziono go do szpitala z nożem w sercu? —zwątpił Panienska.

—Gdyby wyrwano go z rany, wasz podopieczny dawno by nie żył. To, że jeszcze żyje, zawdzięcza pechowi mordercy.

—Kiedy?... —spróbowałem, choć wiedziałem, jaką mogę dostać odpowiedź.

—Nie wiem. Jest nieprzytomny.

—Zostawimy tu swoją opiekę —spróbował wykazać się Panienska.

Twarz lekarza nagle poczerwieniała i pomyślałem sobie, że jeśli sam nie zacznie się leczyć, to niedługo trafi go szlag.

—Nie potrzebuję tu żadnych milicjantów. Ani mundurowych, ani w cywilu. Kogo chcecie pilnować? Niedotrupa, który nie może ruszyć ani ręką, ani nogą? Człowieku, przecież ja nawet nie wiem, czy on przeżyje najbliższą noc!

— Doktorze — odezwałem się — posadźmy tutaj kogoś. Może go pan nie dostrzegać, lekceważyć, ale tak jak pan robi swoją robotę, tak i my ją robimy. Musimy wiedzieć, czy ktoś nie spróbuje nawiązać z rannym kontaktem, co on powie... Po co mamy mieć do was w razie czego pretensję?

— Róbcie swoje, jak chcecie — odszedł zdenerwowany.

Zrobiliśmy, jak chcieliśmy. Mimo że lekarz miał wiele racji. Ale nie mogłem dopuścić, aby morderca wszedł do szpitala i skończył swoją spartoloną za pierwszym razem robotę.

Wieśka siedziała przede mną całkowicie zrezygnowana. W jej młodym życiu nigdy zapewne nie wydarzyło się tak wiele w tak krótkim czasie. Mimo to i mimo jej młodzieńczego wyglądu była w niej jakaś nieoczekiwana godność i duma.

— Gorąco ci? — podsunąłem jej szklankę wody.

— Przepraszam pana za moje zachowanie w domu.

— Obojgu nam było niełatwo, teraz już chyba możemy porozmawiać spokojnie. Z tego, co do tej pory wiem, twój Piotrek wplątał się w brzydkie sprawy. Chcemy mu pomóc, żeby nie narobił głupstw.

— On zawsze był dziwny, bardzo wszystko przeżywa, nie tak jak Marek.

— Twój brat w sprawie, którą prowadzimy, nas nie interesuje. Zresztą teraz, po ucieczce z poprawczaka, siądzie tam na dłużej.

— Wiem o tym, ale on jeden w całej rodzinie jest taki...

— A Piotrek?

— On ma jakąś straszną tajemnicę, ale o niej nigdy nie mówi, kiedyś mi tylko tłumaczył, że musi się przemóc i zwyciężyć sam siebie.

— Jak chciał to zrobić?

— Nie wiem.

— Może możemy mu w tym pomóc — podprowadzałem ją, aby nabrała do mnie zaufania.

— Nie, nikt mu w tym nie może pomóc.

— Posłuchaj. Wiesiu, Piotrek może być świadkiem w bardzo ważnej dla nas sprawie, musimy wiedzieć, jak on się nazywa naprawdę i gdzie mieszka.

— Piotrek się nazywa Kobzan i mieszka w tych nowych blokach obok Dworca Wschodniego — podała dokładny adres.

Panienska, który do tej pory przysłuchiwał się naszej rozmowie, teraz zapisawszy sobie podany przez Wieśkę adres spojrzął na mnie znacząco i wysunął się cicho z pokoju. Pewnie znowu chciał się zasłużyć. Jeśli Piotrek jest teraz w domu. Panienska przywiezie go w ciągu godziny. Jeśli go nie ma, założy tam klasyczny kocioł.

— Doprawdy nigdy nie wspominał ci niczego bliżej o tej tajemnicy?

Wieśka popijała drobnymi łykami „Mazowszanke”.

— Wiem tylko, że to było coś z jego matką i działo się dawno temu. Piotrek mieszka sam. a wychowywał się w domu dziecka. Ale o tym wszystkim wiem tylko ja. Nawet Ciućkowi o tym nigdy nie mówił.

Jasne. Tylko że wtedy, w. „Kongresowej”, to Ciuciek mówiący o Wieśce był pijany, a nie ja. i powinienem był o tym pamiętać.

— Z nim też się spotykasz? Zaczerwieniła się gwałtownie.

— Jestem tylko z Piotrkim, Ciuciek to chłopak Magdy.

— Mówisz o Zielonce?

— Tak. ale on wszystkie podrywa. Mnie też namawiał, ale ja jeszcze nigdy.. — urwała skonfundowana.

— Ciuciek był najbliższym przyjacielem Piotrka?

— Tak. jedynym — spojrzała na mnie z wdzięcznością, że przestaliśmy mówić o niej — ale ostatnio Piotrek przestał się z nim spotykać. W ogóle nie chciał nikogo widzieć.

— Czy widziałas Piotra w dniu. gdy zabito twego sąsiada?

— Nie. nie było go wtedy u mnie. miał przyjść, ale w ogóle się wtedy nie pokazał.

— A kiedy dał ci ten złoty łańcuszek?

— Wtedy, gdy spotkałam pana na schodach, jak szedł pan do Cuprowej. To miała być pamiątka, kiedy go nie będzie

— Wyjechał gdzieś?

— Nie mogę panu powiedzieć.

— Zdradziłaś nam jego nazwisko i adres, więc dlaczego nie chcesz powiedzieć, gdzie on teraz jest?

— Niech pan mnie nie pyta — przygarbiła się — obiecałam, że nikomu nie powiem.

To znowu był ten znany mi już jej twardy dziewczęcy upór. I znowu go będę musiał przełamać. Spróbowałam jeszcze raz.

— Zrozum, że ja po prostu muszę dowiedzieć się. gdzie on jest.

Pochyliła się nad biurkiem jeszcze bardziej i powiedziała tak cicho, że ledwie zrozumiałem: — Nigdy panu tego nie powiem.

Musiałem znaleźć do niej jakieś dojskie. Jedynym człowiekiem, który mógł mi w tym pomóc, był Adamiak. Wieśce nic nie zaszkodzi, jak będzie miała kilka godzin na zastanowienie. Odesłałem ją na dół.

Trzeba było teraz wykonać kilka telefonów.

Adamiak nie był szczęśliwy, gdy dowiedział się. że ma zaraz zjawić się w komendzie. To. co od niego usłyszałem na moją propozycję, nie było zbyt uprzejme. Nieuprzejmy był także lekarz w szpitalu. Ogólnikowo tylko mnie poinformował, że Szukałewski nadal jest nieprzytomny. Gdy zacząłem wykręcać trzeci numer, do pokoju wszedł zmęczony Niania. Głupio było teraz odkładać słuchawkę.

— Aneta, przepraszam, że przerwałem poprzednią rozmowę, ale znowu nam dziabnięto faceta...

W słuchawce usłyszałem jej zadowolony śmiech, a potem;

— Kotek, tę rozmowę ja przerwę— i trzasnęła słuchawką.

Nie trzeba było zaczynać. Teraz było już za późno. Niania z niewinną miną spytał:

— Kotek, czy wiesz, że u Szukalewskiego nic nie znaleźliśmy? Chałupa też była w idealnym porządku. Facet wszedł, uderzył nożem i wyszedł. Przyszedł, żeby zabić. Wyciągnięty z twego Docenia kawałek noża to zwykły nóż kuchenny, który możesz kupić w każdym sklepie.

Spojrzał na mnie ponuro i równie ponuro spytał:

— I co ty na to. kotek?

— Odpieprz się z tym kotkiem. — Niania zdecydowanie miał zbyt wiele informacji. — Chciałbym, żebyś miał równie dużo informacji o tej nieudanej próbie zabójstwa, co o mnie.

Niania był ucieleśnieniem niewinności.

— Moja wina. że mamy przez telefon podobne głosy? Sam powiedziałeś, że tylko nam. gliniarzom, nie wolno się mylić.

O Boże. jutro będzie mnie już tak nazywać cała komenda. Jak dla mnie — przemiana z buldoga w kotka jest zbyt radykalna.

— Proszę cię, czy nie możesz raz być poważny?

— Nie wściekaj się. Docent dostał nożem i z tego co się udało ustalić, zdołał wyjść— a raczej wyczołgać się przed antykwariat i tylko dzięki temu tak szybko go znalezione, facet ma nieprawdopodobne szczęście, po pierwsze dlatego, że mimo ciosu w serce ostrze noża zostało w ranie, a po wtóre, że natychmiast go znalezione. Tylko temu zawdzięcza, że jeszcze żyje. Z tego. jak to wygląda, wynika, że morderca się spieszy, może bał się, że ktoś wejdzie do antykwariatu.

— A co mówią świadkowie?

— Nikt nic nie widział, tylko ekspedientka ze sklepu naprzeciwko twierdzi, że widziała stojącego przed antykwariatem groszkowego dużego fiata, ale później nie zwracała na niego uwagi, a gdy usłyszała krzyki na ulicy i wybiegła, żeby zobaczyć, co się stało, już tego samochodu nie było.

— Ktoś jeszcze zwrócił na to uwagę?

— Ty byś pewnie chciał, żebym podał ci teraz numer rejestracyjny i nazwisko kierowcy. Nie ma tak dobrze. Powiedziałem ci już. że morderca wszedł, uderzył nożem i wyszedł nic zostawiając żadnych śladów.

— Chciałbym, żebyś nie odchodził na stale od sprawy Zdzicha. Musisz jednak zdrowo pogonić ludzi do zabójstwa Docenta. Pamiętaj, że on ma jeszcze szansę wyżyć. Tymczasem wiesz dalej.

Jak zwykle cicho i niepostrzeżenie zmaterializował się w pokoju zgorzkniały i zrezygnowany Adamiak. Również tak samo jak zwykle popatrzył na mnie przeraźliwie smutno i ponurym głosem poważnie spytał:

— Podobno tęsknisz za mną przeogromnie? Czy znowu chcesz, abym wyczyścił czyjeś szambo?

— Na razie to ty zabagiłeś wszystkie komendy w Warszawie tymi szczeniakami ze swojej listy.

— I skrupulatnie własnymi rękami czyszczyć je teraz z tego gówna. Są zupełnie czyści w twojej sprawie, co najwyżej wychodzą jakieś małe grzeszki typu skok na torebkę staruszki na ulicy albo rozbicie kiosku i gazetami. Nic poważnego.

— Nie sroż się, Poldek, odwaliłeś kawał solidnej roboty. a to, że na nic nie trafiłeś, to też coś znaczy.

— Nie głaszcz, mnie, nie lubię tego. Powiedz od razu. czego tym razem chcesz Adamiak wyciągnął się na krzesło szykując się jak gdyby do wysłuchania dłuższej opowieści i już przymykając oczy dodał: Do-cent to na szczęście nic mój rejon, więc możesz się o to nie pytać.

— Potrzebny mi jest niski, barczysty, ciemny blondyn, chodzący w przydymionych okularach, mieszka na Bródnie, ale w twoim rejonie ma dziewczynę. Tę Wieškę z czwartego piętra nad Zielonkami, nazywa się Piotr Kobzan.

— Pan Piotruś — wyprostował się na krzesło — to ciekawa postać, ale bardziej dla dziennikarza niż dla nas. To kliwa opowieść i nie wszystko o nim wiem. Do tej pory właściwie mi nie podpadł. Znam go tylko o tyle, o ile musiałem pilnować brata Wieški.

— Ona mówiła, że Piotrek ma jakąś straszną tajemnicę...

— To pewnie właśnie to. Jego matka wychowywała go sama wraz z jego siostrą. To było gdzieś w połowie lat pięćdziesiątych, któregoś dnia przyszła do domu i odkręciła gaz. Gdy sąsiadkom udało się wyważyć drzwi, było już prawie za późno. Odratowano Piotrka i jego matkę, a małej Iwony już się nie udało.

— Cholera — wyrwało mi się mimo woli.

— To jeszcze nic wszystko. Okazało się, że pani Kobzan zrobiła to tylko dlatego, że coś w jej życiu trzasnęło i tego nie wytrzymała. Próba zabicia dzieci i siebie to nie było działanie z premedytacją ani też akt rozpacz, tylko po prostu kolejny atak choroby. Chyba nie wiedziała, co robi. W każdym bądź razie wylądowała po tym wszystkim na oddziale dla chorych.

— A co z jego ojcem?

— Kobzan był właścicielem dobrze prosperującego interesu, ale dwa lata wcześniej zginął głupio. bo w wypadku na ulicy.

Paniuszka, który wszedł w tym momencie do pokoju, przerwał opowieść Adamiaka.

— Kobzana nie ma w domu — był wyraźnie zmartwiony, że mu się znowu nie powiodło. Zostawiłem kocioł.

I opadł na krzesło sięgając po butelkę wody. Może wreszcie dopuścicie waszego pacholka Adamiaka do tajemnicy i powiecie, co jest grane" Macie coś do Piotrka? Paniuszka popatrzył na mnie pytająco.

— Piotrek — wyjaśniłem Adamiakowi — miał biżuterię Zielonków.

— To do niego nie pasuje, chłopak jest raczej spokojny.

— W mieszkaniu też nie było niczego, może tylko to was zainteresuje — Paniuszka wyciągnął ze swojej torby zdjęcie młodej kobiety, a wraz z nim zawiadomienie ze szpitala psychiatrycznego w Tworkach, że pacjentka Halina Kobzan zmarła. Zawiadomienie było datowane trzy miesiące temu. Trzecią kartką, przywiezioną przez Paniuskę, był nekrolog powiadamiający o pogrzebie w Wólce Węglowej matki Piotrka. Podpisany był: syn.

To właśnie była tajemnica Piotra. Ale nie wyjaśniało to dlaczego nie ma go w domu i dlaczego od dwóch dni nie pokazał się u Wiesi.

— Trzeba ustalić personalia i poszukać tego jego kumpla. Ciućka.

Adamiaka aż poderwało na krześle.

— Od momentu, gdy przedstawiłem wam swoją listę, szukam go po całej Pradze, przecież to Marcin Kaczorowski, jeden z tych trzech, których wskazywałem ci jako potencjalnych zabójców Zielonki — spojrział na mnie z naganą. — Skąd go masz?

— Jak robię sprawę Zielonki, to muszę chyba znać chłopaka Magdy — wołałem się nie przyznawać przed Adamiakiem, w jakich okolicznościach spotkałem Ciućka.

— Cholera, o tym nie wiedziałem. Jeśli Piotrek ma biżuterię z domu Zielonków, to Ciuciek zaczyna mi naprawdę śmierdzieć.

— Panienska, jedź do domu Ciućka, porozmawiaj z rodziną, wątpię, żeby on tam był, ale obejrzyj, jak mieszka. Potraktuj to jakby to była twoja sprawa.

Panienska popatrzył na mnie z wdzięcznością, bo w tym, co powiedziałem, znalazł rozgrzeszenie i zaufanie. Wiedziałem, że tym razem nie nawali. Był już przy drzwiach, gdy go zatrzymałem.

— Miałeś jakieś wiadomości do Płetwy?

— Wiesz przecież. Bulldog, że od ostatniej rozmowy w tym pokoju nie widziałem go.

Wybiegł. Powiedział „Bulldog”, a nie „kotek”, choć pewnie też już to słyszał. Będą jednak z tego chłopaka ludzie.

— Przespacerujesz się ze mną? — spytałem Adamiaka, który o dziwo — był zdenerwowany. Dawno go takim nie widziałem. Odwarknął:

— I będziemy w ten ciepły wieczór chodzić przy księżycu jak zakochani?

Rzeczywiście, nie zauważyłem, że zdążyły się już zapalić uliczne latarnie.

— Tak, co więcej spacerujemy się po Starym Mieście. Ale weźmy ze sobą broń.

Było tak parno, że poręcze klatki schodowej lepiły się do rąk. Stojąc wraz z Leopoldem na trzecim piętrze pod drzwiami mieszkania Magdy czułem, że cały jestem spocony, zazdrościłem stojącemu obok mnie drażalowi, który zdawał się wcale nie odczuwać panującej duchoty.

Na nasz dzwonek do drzwi nikt nie odpowiedział i gdyby nie to, że byliśmy cali spięci, uszedłby zapewne naszej uwagi lekki szmer, jaki dobiegł z mieszkania. Porozumieliśmy się z Adamiakiem wzrokiem. Obaj wydobyliśmy broń i Leopold lekko nacisnął klamkę. Drzwi nieoczekiwanie ustąpiły. Tego się nie spodziewaliśmy. Odsunąłem Adamiaka i wślizgnąłem się do ciemnego korytarzyka. Leopold znalazł się tuż za mną, natychmiast zamykając za sobą drzwi. Jeśli w mieszkaniu Magdy był Ciuciek i miał broń, na tle jasnego prostokąta drzwi stanowiliśmy zbyt łatwy cel. Chwilę staliśmy nasłuchując. Przycisnąłem ramię Adamiaka i pchnąłem go leciutko w stronę, gdzie jak mi się wydawało, były drzwi od łazienki. Zrozumiał. Udając skradanie podszedł do nich tak głośno, iż jeśli ktoś był w mieszkaniu — musiał go usłyszeć. Pozwoliło



mi to na znalezienie się w pokoju: Trwała w nim nieruchoma cisza. Wydawało się,— że nie ma nikogo. Zaciągnięto tu widocznie story, więc nie dochodził ani jeden promień światła z ulicy.

Bardziej wyczułem niż zobaczyłem stojącego po mojej prawej ręce człowieka, czającego się w panujących ciemnościach. Całym swoim ciężarem ciała rzuciłem się do przodu celując barkiem w miejsce, gdzie powinien się znajdować splot słoneczny. Poczułem, jak weń uderzam i jednocześnie zaczęły się dziać niezrozumiałe dla mnie sprawy. Normalnie po takim ciosie człowiek gwałtownie pozbawiony powietrza i z niemal zatrzymanym sercem powinien leżeć na podłodze i nie być zdolnym do jakiegokolwiek ruchu przez dobre kilka chwil. Tymczasem mój bark ześlizgnął się po żebrach przeciwnika, ja zaś wyrzniętem całą siłą rozpędu o ścianę. Jednocześnie uczułem dławiący splot muskularnego ramienia na mym gardle, a jeszcze chwila i pękłyby mi kości wykręconej gwałtownie ręki. Ratując się w panice, która mnie ogarnęła, spróbowałem rzucić się na ziemię, wymierzając jednocześnie do tyłu silne kopnięcie. Stęknęcie, które usłyszałem, potwierdziło, że tym razem trafiłem. Nie czekając, co dalej zrobi mój przeciwnik, wyciągnąłem przed siebie obie dłonie i natrafiwszy jego pochyloną głowę, chwyciłem za włosy, uderzając kolaniem w twarz. I znowu stało się coś niezrozumiałego, moje kolano minęło o milimetry głowę i — jak mi się wydawało poleciało gdzieś pod sufit, ja zaś — chwycony obiema rękami pod kolano drugiej nogi, gwałtownie podcięty — zwaliłem się ciężko na podłogę. Niewidzialny przeciwnik przygniótł mnie ciężarem swego blisko stukilowe—go cielska, przyciskając mi przedramieniem krtań. Ostatkiem świadomości, wkładając w to wszystkie siły, obiema dłońmi rąbnąłem odsłonięte nerki. Poczułem, że mogę chwycić powietrze. Jeszcze chwila, a siedziałem na nim okrakiem, przyciskając jego twarz do podłogi. Dopiero teraz zapaliło się światło i poważny Adamiak, trzymając odbezpieczoną broń, rozkazał:

— Nie ruszać się. Wstałem ciężko dysząc.

— Nie mogłeś wcześniej? — spytałem Poldka z pretensją w głosie.

— Nie mogłem znaleźć kontaktu. Buldog —usprawiedliwił się.

Rzeczywiście, w pokoju nie było żyrandola, stały tylko w różnych miejscach trzy niewielkie lampy. Mężczyzna leżący na podłodze zaczął się gwałtownie krztusić— Potem jęknął i parsknął, trwało to chwilę, zanim pojąłem, że po prostu się śmieje, śmiał się coraz gwałtowniej, aż jego duże ciało popadło w spazmatyczne drgawki. Przewrócił się na plecy i dalej się śmiał. To był Płetwa.

— Nareszcie —odezwał się Adamiak. — Zawsze wiedziałem, że takie hieny jak wy kiedyś się pozabijają walcząc o padlinę.

Pomogłem nie przestającemu się śmiać Płetwie wstać z podłogi.

— Przypuszczałem, że ty, Buldog, jesteś od brania po pysku, ale okazuje się, że ciebie może załatwić tylko baba — stęknął siadając na tapczanie.

— Cisza — szepnął Adamiak gasząc światło. Płetwa jednym skokiem znalazł się przy drzwiach. Leopold wrócił do łazienki, ja zaś wtopiłem się w ścianę, gdzie jeszcze przed chwilą stał Płetwa. Ktoś próbował otworzyć kluczem drzwi. Poznałem głos Magdy.

— Znowu. Ciuciek. nie zamknęłam drzwi.

Napięcie w pokoju wydawało się całkiem namacalne. Drzwi uchyliły się i weszła Magda. Płetwa nie czekał dłużej. Całym ciężarem ciała rzucił się na drzwi, przeskoczył na ich drugą stronę i zanim Magda zrozumiała, co się dzieje za jej plecami, miękko podtrzymał osuwającego się wprost w jego ramiona Ciućka. A potem wciągnął go do mieszkania, zamykając kopnięciem drzwi. W tej samej chwili zapaliłem światło, zaś z

łazienki wyszedł Adamiak i z całym spokojem zatrzasnął na podanych mu przez Płetwę przegubach Ciućka kajdanki. Wszystko to odbywało się w całkowitym milczeniu. Dopiero teraz Magda odzyskała głos

— To jest bezprawie! — krzyknęła, lecz zanim zdążyła powiedzieć coś jeszcze, potwierdziłem.

— Tak, to jest bezprawie, od wielu lat nie mam z niczym innym do czynienia. Szukamy cię, Ciucick, od paru dni. Dlaczego bawisz się z nami w chowanego? My nie lubimy tej gry.

Podnosząc skute ręce Marcin otarł krew z rozbitego drzwiami nosa.

— To ona kazała mi pójść do swoich starych i zabrać pieniądze.

— Doprawdy? — powątpiewał Płetwa. Magda skoczyła do Marcina z wyciągniętymi rękoma, chwyciła go za długie włosy i bijąc jego głową o ścianę krzyczała:

— Ty głupi, naćpany skurwysynu, to nie ja kazałem ci zabijać!...

Skutymi rękoma Ciucick nie mógł bronić się i bezwolnie przyjmował atak Magdy.

— ... miałeś tylko zabrać pieniądze!

Wcale nie było łatwo poskromić rozhisteryzowaną dziewczynę. Z trudem udało się nam odciągnąć ją od Ciućka. a mimo to w dalszym ciągu bila na osłep pięściami, kopała i gryzła. Wreszcie usiadła na ziemi i zaczęła się zanosić płaczem.

— Dlaczego zabiłeś Zielonkę? — spytałem Ciućka. — Dla tych pieniędzy i kosztowności?

Patrząc na jego rozszerzone źrenice wiedziałem, że albo powie nam wszystko teraz, albo będziemy się musieli z nim męczyć długie tygodnie.

— Nikogo tam nie było — powiedział spoglądając rozbieranymi oczyma, jego ręce i nogi wstrząsane były ciągłymi charakterystycznymi drgawkami. Nie mógł tego opanować. Nikogo nie było — powtarzał.

— Był tam ojciec Magdy — stwierdził Płetwa.

— O Jezu! — zawył Marcin chwytając się za głowę. — Tam nikogo nie było. Przecież ja to jej mówiłem — poszukał Magdy wzrokiem chcąc potwierdzenia. — Mówiłem ci.

Ta podniosła głowę i zimno powiedziała: — Jesteś mordercą, tchórzliwym mordercą. Zabiłeś mi ojca.

Była dla niego jednak ważniejsza, niż mogliśmy oczekiwać. Zsunął się z tapczanu na kolana i dalej mówił już tylko do niej:

— Dlaczego mi nie wierzysz?! Przecież to ty dałaś mi klucz i powiedziałaś, gdzie są pieniądze. Przysięgam, że niczego więcej nie brałem Sama mówiłaś, że ojca nie będzie w domu i go nie było Nie było! Nie było!

— Gdyby to była prawda, to ich by tu nie było — wskazała na nas w milczeniu przyglądających się tej scenie. — Zrozum, przyszli tu po ciebie, przyszli, bo wiedzą, że zabiłeś mego ojca.

— Gdzie są pieniądze? — przerwałem te wzajemne oskarżenia, zwracając się do Magdy. Ta bez słowa podeszła do szafy i wyjąwszy stamtąd plik banknotów rzuciła nimi we mnie.

— Nic więcej mi nie dał. Zabierzcie to wszystko i wyjdźcie już stąd.

Machnęła ręką wskazując i na skulonego na podłodze Ciucka, i na pieniądze, którymi był obsypany. Zrobiliśmy to, co nam radziła. Ale ją zabraliśmy także.

Przed wejściem do komendy Adamiak pożegnał się z nami obiecując, że wyszpera wszystko, co będzie mógł na temat Piotrka i jego rodziny. Być może w jego wielkiej tajemnicy znajdziemy ślad, który może nam ustalić, gdzie teraz jest.

Płetwa jakoś niechętnie wchodził za mną do pokoju. Gdy weszliśmy na górę, uciekł do ubikacji, a gdy stamtąd wyszedł, gorączkowo przez kilkanaście minut poszukiwał w pustej komendzie Urszuli. Wyraźnie odwlekał rozmowę ze mną. Wreszcie nic mógł już niczego wymyślić i usiadłszy zaczął mówić:

— Tylko mnie nie opieprzaj, każdy na moim miejscu zrobiłby to samo.

— Ty idioto, sądziłem, że jesteś poważniejszy. Powiedz mi, skąd miałeś pewność, że Ciucick nie jest mordercą. Bo ja o tym nie jestem przekonany. Leziesz bez ubezpieczenia i nawet nie raczysz nam o tym powiedzieć.

— Wcale nie szedłem po niego.

— A co, po prostu spodobała ci się Magda? No to spotkałeś tam zazdrośnika— szyja i krtań nadal mnie bolały. — Dobrze się czujesz?

— Odczep się, dawno już nie dostałem takiego łomotu, ale ty też nie wyglądasz świeżo.

Jasne, że nie wyglądałem. Bolał mnie bark. szarpały mięśnie ręki. piekły całe plecy. Płetwa nie był ułomkiem.

— To po cholere tam poszedłeś? Miałeś przecież sprawdzać Mundka.

Płetwa zapalił papierosa, puścił z niedźwiedziowatą nonszalancją parę kółek.

— Słuchaj, Mundka trzeba zatrzymać i zrobić u niego rewizję, ale taką z hukiem, więcej dla pozoru niż naprawdę. Mieszkanie ma chyba czyste...

— Tam też byłeś?— spanikowałem się.

— Nic musiałem. Ma tam żonę. która, jak się dowiedziałem — cały czas robi mu porządki, niczego bym domu nie schował. Tylko że — jak się okazało — nasz Mundzio obraca dużymi ilościami biżuterii. A teraz popatrz: próbował przez Magdę dojść do Zielonki, który miał walutę. Ten jego kumpel podwiózł go w porze morderstwa pod dom Zdzicha, Po co tam pojechał? Gdzie trzyma biżuterię? Bo przecież musi gdzieś ją mieć. Po co taki handlarz dawał sygnet z Ostoją Magdzie? Za dużo jest tych pytań. Wymyśliłem sobie, że skoro był przez jakiś czas z Magdą, to tylko po to, żeby nawiązać kontakt z Zielonkami, bo widocznie nie miał innego wyjścia. I widzisz. Buldog, myślałem, że może coś u tej Magdy zostawił.

— I co znalazłeś?

— Nic, nie zdążyłem, ledwo wszedłem, a już was usłyszałem.

— Sprawdziłeś środowisko Zielonki, znają tam Mundka?

— Właśnie o to chodzi, nie tylko go znają, ale mimo że z nim handlują, robią to bardzo ostrożnie, bo nie mają do niego zaufania. Jestem przekonany, że Mundek, nawet jeśli nie znał Zielonki, dobrze wiedział, kto to jest, a nawet obaj o tym nie wiedząc mogli mieć wspólne interesy. Trzyma się kupy to, co ci powiedziałem?

— Nie bardzo.

— To wszystko potwierdza moją koncepcję. Pamiętasz, jak mówiłem, że morderca przyszedł, aby zabić i przy okazji się obłowił? Na pewno Zdychu naraził się czymś Mundkowi. Nie jeździł na Pragę, żeby z nim pogadać. Musiał się czegoś o Zielonce dowiedzieć.

— To powiedz mi w takim razie, skąd sygnet z Ostoją znalazł się u Piotrka?

— To też wiem. Ten chłopaczek od kilku tygodni kręci się wśród handlarzy złotem i znajomych Zielonki. Robi im różne drobne przysługi i wygląda na to, że uczy się zawodu. Zresztą mówili mi o nim, że jest dziwny. Dużo milczy, ale jak już mówi, to okazuje się, że interesują go jakieś dawne postacie z bazaru.

— I sądzisz, że wybrał sobie za nauczyciela takiego Mundka, do którego nikt nie ma zaufania?

— A dlaczego nie? Piotrek jest za młody i nie wszystko przy nim jest mówione, mógł o tym nie wiedzieć...

Panią nie zwracając na nas uwagi wykladał na biurko zawartość przyniesionej przez siebie torby. Na stole leżała śmierć— Ta najgorsza z najgorszych, którą się wybiera nieświadomie, a potem z całą konsekwencją i uporem do niej dąży. Niektórzy nazywają to wyzwoleniem. Zawsze jednak jest to tragedia.

— Tu chcesz robić kompot? — spytał Płetwa.

— Bez dowcipów — Panią był wyjątkowo poważny. — To wszystko znalazłem w domu Ciućka. Jego rodzice byli szczęśliwi, że ktoś to wreszcie zabierze. Zresztą to był nie tylko kompot. Zobaczcie — machnął ręką w kierunku przyniesionego przez siebie krzaka — jest trawa, mamy ampułki morfiny — po-grzebał na biurku jest parkopan, kodeina, a nawet głupie krople żołądkowe. Wystarczy?

— Jacek, ale nie po to tam pojechałeś...

— W całym domu nie było schowanych ani żadnych pieniędzy, ani biżuterii, Nic, co mogło być podejrzanym. Ojciec twierdzi, że jeszcze dzisiaj Ciuciek nocował w domu, ale teraz nie wie, gdzie jest.

— Mamy go na dole. Magda oskarżyła go o zabójstwo ojca.

— To wygląda prawdopodobnie — skinął głową Panią, zdaje się, że miał poczucie dobrze spełnionego obowiązku i swej ważności. — Jeśli był na dużym haju, mógł to zrobić.

— To zdechłak, nie mógł tak mocno uderzyć. Zielonka to przecież kawał chłopca — powątpiewał Płetwa. — Ty jeszcze nic nie wiesz o Mundku...

— Sam mu to powiem. Michał, ty jedź po naszego inżyniera.

— Teraz, w nocy?

— Taka sama dobra pora, jak każda inna. Była to nieprawda, wszyscy byliśmy już bardzo zmęczeni.

Jak poprzednim razem mimo późnej pory Edmund Brycz był nienagannie ubrany. Raził swoją elegancją, odprasowanymi spodniami i gładko zawiązanym fontaziem w pokoju, w którym obok niego siedziało trzech zmęczonych, wygniecionych i niewyspanych mężczyzn. Tym razem nie zaczął od protestów. Nie był też zdenerwowany. Był po prostu wściekły i pewny siebie. Płetwa też zachowywał się inaczej. Nie puszczał swych kółek papierosowych, tylko gwałtownie zaciągając się wydmuchiwał proste strużki dymu.

—Dlaczego zabiłeś Jana Szukalewskiego? —wszedł mocno, choć mieliśmy wiadomość, że mimo iż Doceni nie odzyskał jeszcze przytomności, to nie jest z nim tak źle.

— Zabiłem Zielonkę, zabiłem Szukalewskiego. choć nie wiem. kim on był. Powiedzcie mi od razu. kogo jeszcze, żebym wiedział, o czym będziemy rozmawiać.

Będziemy rozmawiać, ale na pewno nie tak. jak chciałby to widzieć Mundek.

— Posłuchaj, twój samochód widziano dokładnie w chwili zabójstwa Szukalewskiego. Wiemy, że byłeś w dniu zabójstwa w domu Zielonki. Przedstawimy ci świadków. Urządzymy konfrontację. Odszukaliśmy ludzi, którzy handlowali z tobą złotem, wiemy, komu dałeś biżuterię z mieszkania Zielonki. Wystarczy?

Mundek już nie był pewien siebie, nie był już elegancki. Próbował jednak jeszcze walczyć.

— Musicie mi udowodnić, że znam jakiegoś tam Szukalewskiego. nigdy u niego nic byłem, nie wiem. kto to jest, nie wiem. kiedy go zabito i nie wiem. czy mógł być tam mój samochód, bo jest od tygodnia w warsztacie.

— Sprawdzimy to — stwierdził Panienska.

— Zielonki też nie znałem, poszedłem do niego pierwszy raz,

— Nie kłam. słyszałeś, co powiedział kapitan, poprzednim razem tego się zaparłeś, podobno wcale go nie znałeś. Nie kłam. bo stracę cierpliwość — Płetwa podniósł się z krzesła i nachylił nad Mundkiem. — Chcesz, żebym wierzył, że nie znałeś Docenta?

Milczał.

— Wszystko ci udowodnimy Panienska starał się pomóc Płetwie. — Wszystko, co tylko zechcemy. I wtedy dostaniesz czapę.

—Docent przecież już dawno wycofał się z interesów. Co ja mogę mieć do niego?

—Więc jednak jego też znałeś? — odezwał się. — To nam wystarczy, możemy już z tobą nie rozmawiać. I tak się nie wywiniesz,

Panienska stanął z drugiej strony Mundka i zaczął powoli mu tłumaczyć:

— Przyjdą po ciebie, gdy będziesz się tego najmniej spodziewał. Przyjdą, gdy będziesz myślał że masz jeszcze przed sobą dzień lub dwa życia. Wtedy, gdy inni więźniowie będą już po apelu siedzieć w swoich celach, przejdziesz przez, puste korytarze po to. by wejść na szafot. Zwiążą ci ręce...

Skowyt, jaki wydobył się z ust pana Mundka, był wrzaskiem śmiertelnie przerażonego człowieka.

— Przestań. Jacek — zainterweniowałem.— ale już było za późno, omdlały Mundek osunął się i krzesła. Nawet Płetwie było nieswojo.

— Przesadziłeś, Jacek, tak nie można ale w geście, jakim chlusnął wodą w twarz Mundkowi. była duża doza satysfakcji.

W tę pierwszą noc którą mogłem —wreszcie spędzić w domu. szedłem ulicami miasta odsuwając od siebie półprostytkę Magdę, trupa jej ojca. narkomana Ciućka... Chciałem mieć to wszystko poza sobą. Nie można jednak w wielkim mieście uchylić się przed jego ohydą. Nawet wtedy, gdy następuje przełamanie dnia z nocą.

Zawsze działało na mnie przygnębiająco znużone szarzenie warszawskich przedświtowych godzin. Bezbarwnych, pozbawionych koloru, nieostrych. Gdzieś z wizgiem opon przycryczała karetka pogotowia. Przed sklepem sinawe w swych białych kitlach upiory ustawiały skrzynki z mlekiem. Zbryzgani krwią krępi pacholkiwie wyciągali za nogi kolejne zwłoki, które przynosili nu swych brudnych grzbietach na zaplecze mięsnego sklepu. Pod płonącym luną wewnętrznych reflektorów murem więzienia spał snem sprawiedliwego święty prorok wczorajszego wieczoru. Kochanek i rogacz. Nad nim zmęczonym ruchem pochylał się w wieżycze pełen samotności żołnierz, patrzący nad lufą karabinu niewidzącymi oczyma. Gdzieś ktoś krzyknął, zacharkotał. Przy pękniętej latarni, przy wraku samochodu migotało błękitem światło radiowozu. Znowu ktoś umarł i nikt tego nie zauważył. Miasto jak zgonione zwierzę z trudem dyszało oddychając warem. J jednocześnie budziło się do swych codziennych podłości.

Zasnąłem nie zdejmując ubrania.

## DZIEŃ PIĄTY

---

Odświeżony i domyty łatwiej znosiłem poranny upał. Nie była to jednak całkiem prawda. Wykro—chmalona panienczka w rejestracji potrafiła mi tylko powiedzieć— gdzie znajduje się pawilon, w którym przebywała matka Piotra i gdzie mogłem znaleźć lekarza, który się nią opiekował. Idąc tam zauważyłem, że drzewa mogą mieć na sobie prócz kurzu, do którego widoku przywykłem, także i liście. To było przyjemne. Nieoczekiwane. Inne. Chudy mężczyzna, idący przede mną, zatrzymał się mówiąc:

— Przepraszam pana.

Po czym sięgnął do mojej kieszeni, wyciągnął wystający zeń długopis i z lubością przełamał go w palcach przyglądając się temu z ciekawością. Każde pęknięcie plastikowej rurki było dla niego bardzo ważne. Gdy wreszcie się to stało, pozwolił jej upaść na ziemię i opuścił bezwładnie ręce. Stał nieruchomo.

—Panie Rysiu, panie Rysiu! — wołała nadbiegająca dziewczyna w dzinsach. — Co pan wyprawia, jak pana nie wstyd!

I ujawszy go za rękę poprowadziła bezwolnego za sobą.

I dla niego, i dla niej mnie tu nie było. Nie zauważyli mnie.

Lekarka, opiekująca się w ostatnim czasie matką Piotra, była dziwnie podobna do wykrochmalonej piękniś z rejestracji. Obie zdały się równie znudzone i zubożnięte na to, co się wokół nich działo. W ludziach, których tu spotykałem, nie było oddechu, jaki dawały drzewa, wśród których żyli.

— Niech pan sobie nie wyobraża, że pani Kobzan miała tu złą opiekę. Proszę jednak zrozumieć, że przy jej schorzeniu było wiadome, że nigdy stąd nie wyjdzie — tłumaczyła dziwiąc się mojej tępotnie. Była dla nas jedną z wielu takich osób. Trudno mi coś o niej powiedzieć.

— Dawno leczona u was? — chciałem się jednak czegoś dowiedzieć.

— Jak tu przyszłam, była hospitalizowana — to słowo nie wiem dlaczego zaakcentowała — już od dłuższego czasu. Trudno mi powiedzieć, jak długo.

— Prowadząc pacjenta nic pani o nim nie wie?

— Wiem. Od tego tu jestem, żeby o nim wszystko wiedzieć. Ale interesuje mnie medyczny punkt widzenia, a nie jego życie prywatne odparowała.

Nawet wśród drzew można natknąć się na gówno. Spytałem;

— Czy pani jest pewna, że jest pani lekarzem psychiatrą? Może leczy pani katary?

— Pan się zapomina. Rozmawia pan z lekarzem! — była wyraźnie dumna z siebie

Nie miałem tu czego szukać.

— Przepraszam. Trudno to zauważyć na pierwszy rzut oka.

Wyszedłem wściekły.

W pokoju pielęgniarek korpulentna i szybka w ruchach siostra w średnim wieku spojrzała na mnie ze zrozumieniem.

— Ci młodzi to teraz wszyscy tacy — wyjaśniła. — O kogo chciałby pan się dowiedzieć?

— Szukam kogoś, kto pamięta Halinę Kobzan.

— Panią Halę? To najmilsza z naszych pacjentek, ale ja panu nie pomogę. Wiem tyle, co pielęgniarka o pacjentce. I że syn czasem do niej przyjeżdżał. Ale panie, panie, niech pan poczeka. Jest tu taki doktor, chyba najstarszy. Ordzyński. Teraz to już na emeryturze. On będzie wiedział.

— Gdzie go znaleźć?

— Tutaj. Choć na emeryturze, to jeszcze pracuje. Tacy to byli kiedyś ludzie niezniszczalni. Nie to, co teraz, co tylko fupy mają w nosie.

Doktor Ordzyński, wysoki i szczupły, z długimi, siwymi włosami, nie chciał ze mną rozmawiać w swoim gabinecie. Ująwszy mnie pod ramię prowadził ścieżkami parku otaczającego szpitalne pawilony, opowiadając, jak niegdyś w Szubinie leczył ziołami. Dopiero gdy przysiedliśmy na ławce stojącej nad brzegiem dużej sadzawki, spytał:

— Więc interesuje się pan, kapitanie, naszą Halusią? To była kiedyś piękna kobieta Pamiętam, jak ją przywieziono. Oczywiście występowały u niej wszystkie objawy schizofrenii i całkowita amnezja. Jednak wciąż przypuszczałem, że ona musi coś pamiętać. Była prawie zawsze spokojna i było w niej wiele smutku.

— Pamięta pan, doktorze, moment, gdy ją przywieziono?

—Tak. proszę pana. pamiętam. Ona była całkiem sama. Nie miała nikogo z rodziny. Przywieźli ją tu sąsiedzi. Wtedy to byli młodzi ludzie, gdyby pan teraz chciał ich odszukać, mieliby po pięćdziesiątce. To było przecież prawie dwadzieścia lat temu. I wie pan. panie kapitanie, tylko jej synek, którego mieli ze sobą. zdawał się nie dostrzegać choroby matki. Tamci dwoje starali się jak najszybciej załatwić formalności i stąd odjechać. Zresztą tego pana nigdy już później nie widziałem, ale to musiał być dobry człowiek—bo mówił, że udało mu się załatwić Piotrusiowi sierociniec A ta pani to chyba potem ze dwa, może trzy razy przyjeżdżała, ale wybaczy pan —nie wtem. jak się nazywała. Ale ich pan znajdzie, bo mieszkali razem z Kobzanami w tym samym domu.

—Ten dom już nie istnieje, dawno go rozebrano.

— Niech pan spojrzy, kapitanie, jakie to czasy, kiedyś domy przeżywały swych właścicieli i całe pokolenia, a teraz ludzie przeżywają domy.

— Pamięta pan. że chłopczyk nazywał się Piotruś, nie może pan sobie przypomnieć tamtych ludzi?

Doktor zapatrzył się przez chwilę na pomarszczoną wodę stawu. Słysząc było brzęczenie pszczół.

— Widzi pan. panie kapitanie, on był wtedy dzieckiem, ale gdy skończył szkołę i wyszedł z sierocińca, odnalazł matkę i przyjeżdżał tutaj. Ale nie często, raz na miesiąc, raz na dwa miesiące. Zawsze przywoził jej kwiaty, ale ona go nie poznawała, choć pewnie przez te kilka lat przyzwyczaiła się do niego. Wie pan. to były dziwne wizyty. Przychodził, dawał jej kwiaty, a potem oboje milczeli. Po prostu byli ze sobą.

— Niedawno zmarła?

— Byłem na jej pogrzebie. Zawsze odprowadzam swoich pacjentów. To był smutny pogrzeb. Był tylko Piotr z narzeczoną i ja.

— Rozmawiał pan z nim wtedy?

— Tak. chciał się ode mnie dowiedzieć, jak to było naprawdę z tą tragedią. W której zginęła jego siostra, ale mogłem mu tylko powiedzieć, że jego matka musiała wcześniej żyć w ogromnym napięciu, które doprowadziło do choroby. Dzieciobójstwo należy do wyjątków. Musiała już wtedy być chora.

— Zrozumiał to?

— Oczywiście. Teraz to już jest dorosły, dojrzały mężczyzna. Zresztą wcześniej jeszcze, przed pogrzebem, dałem mu wszystkie rzeczy matki. I pewnie tam musiał coś znaleźć, że się tak dopytywał.

— Czy pana następczyni, ta młoda lekarka, może coś jeszcze wiedzieć o pani Halinie?

— To nie lekarz — stary doktor nie bronił prestiżu swego zawodu. — Smutno o tym mówić, to urzędnik.

Ciuciek teraz już tylko Marcin Kaczorowski, wyraźnie źle czuł się w areszcie. Ale to była jego sprawa. My chcieliśmy jeszcze raz z nim porozmawiać.

—Będiesz kłamał? chciał wiedzieć Panienska.

Ciuciek nie odzywając się zaprzeczył głową

— To powiedz, jak to było?



Marcin nie odzywając się nadal oglądał swoje złożone na kolanach ręce. Panienska odczekał chwilę.

— Chcesz, to ja ci powiem, jak to było: weszliście do mieszkania Zielonki we dwójkę z Piotrkim. Jeden z was uderzył. Który?

— Nie zabiłem Zielonki — podniósł głowę.

— Ale on nie żyje. Ty wzięłeś pieniądze, bo tak ci kazała Magda, a poza tym były ci potrzebne na prochy. Piotrek wziął biżuterię, bo uczył się nią handlować.

— Nikogo nie było w domu — upierał się Marcin. — Magda dała mi klucz i powiedziała, gdzie są pieniądze. Wszedłem i zabrałem Wszystko jej oddałem.

— Nie wierzę ci — odezwałem się. Posadzimy cię za morderstwo.

— Nie! — krzyknął. — Zrozumcie, tam nie było nikogo!

— Wierzymy ci od samego początku — Panienska był dobrotliwy — ale wiemy, że cały czas kłamiesz.

— To co mam zrobić?

— Zabiłeś razem z Piotrem, powiedz, gdzie on jest.

Marcin pochylił się w krześle.

— Nie wiem. Podszedłem do niego.

— Porucznik zawsze nie dowierza, ale przypuśćmy, że ja ci uwierzyłem. Jeśli ty nie zabiłeś, to skąd Piotr ma biżuterię? Znasz Mundka?

— Był przede mną z Magdą, próbował szpanować jej forsa, której nie miał. Każdemu łązi w dupę, byle tylko załapać się na interesy.

— A Piotrek znał Mundka?

— Czemu nie. wszyscy go znali, ale Piotrek by się z mm nie zadawał.

— Więc widzisz — tłumaczyłem mu — jeśli Piotr nie poszedł z tobą na ten skok, to musi nam to sam powiedzieć. Wtedy ci porucznik uwierzy. Przypomnij sobie — gdzie on może być.

— Nie miał gdzie pojechać — zastanowił się — chociaż nie... kiedyś byliśmy nad Świdrem z Wiešką i z taką Kryską i wtedy Piotrek powiedział, że jest szczęśliwy, nawet nie chciał wracać do Warszawy.

Na campingu nad Świdrem byliśmy już wczesnym popołudniem. Piotr Kobzan zameldowany był tutaj pod swoim nazwiskiem. Nie było go jednak w domku. Teren został obstawiony, w recepcji przy bramie wjazdowej ubrany jak zwykle po cywilnemu Panienska chłodził się w strugach wiatraczka. Płetwa i ja nie mieliśmy tak komfortowych warunków. Co prawda Michał uwalił się na łóżku w domu Piotrka, ale dla mnie pozostało w tej sytuacji tylko niewygodne krzeselko. Pokoik Piotrka zasnuty był dymem naszych papierosów. Obok łóżka stały wypite przez nas butelki po coli i wodzie mineralnej. Obok mojej ręki na stoliku leżały dwa woreczki plastikowe: w jednym z nich były carskie „świnki” i złote dolary, w drugim zmatowiały, gdy patrzeć przez plastik, drogocенności Zielonków,

Żaden z nas nie drgnął, gdy usłyszeliśmy chrobot klucza w zamku.

Barczysty, ciemny blondyn w dioptrycznych, przyciemnionych okularach na nasz widok odwrócił się i rzucił do ucieczki. Jednak nie miał już tej szansy. Przed domkiem stało dwóch milicjantów zagrządzających mu drogę. Zobaczywszy ich stanął i zrezygnowany pozwolił sobie założyć kajdanki i wepchnąć się do domu. Dopiero teraz Płetwa wstał i sprawnymi ruchami zaczął go obszukiwać wyrzucając wszystko na siół obok biżuterii. Stuknęły o blat klucze, zachrobotwały dźwięcznie monety, obok których wylądowało kilka zgniecionych banknotów, zagrzechotały zapalki, upadła paczka papierosów. Z tylnej kieszeni spodni Piotra, obcisłych i opiętych na biodrach. Płetwa wydobył złożoną w pół kopertę. Obejrzał ją i miał rzucić pomiędzy inne przedmioty, leżące na stole, poda ją mnie. Jeszcze przesunął rękoma po nogawkach spodni, jeszcze wetknął palce w skarpetki, jeszcze włożył rękę w krocze. Piotrek nic miał przy sobie niczego więcej. Stał i patrzył na nas w milczeniu.

Koperta, podana mi przez Płetwę, była wielokrotnie składana i rozkładana, jej wystrzępione brzegi świadczyły, że adresat chyba nigdy się z nią nie rozstawał. Zaadresowana do Piotra Kobzana na maszynie, wyglądała jak zwykle urzędowe pismo. Otworzyłem ją, wydobywając stamtąd kartkę maszynowego papieru. Piotr bez napięcia bez jakiegokolwiek przygotowania rzucił się w moją stronę, próbując wydrzeć mi ją z rąk. Skute kajdankami ręce uderzyły mnie boleśnie w ramię. Milicjanci stojący cały czas obok niego byli niemal równie szybcy. Chwycili go i rozpiąwszy mu kajdanki, założyli je powtórnie, skuwając ręce z tyłu. Nikt się nic odezwał. List, który chciał nam odebrać, czytaliśmy teraz razem z Płetwą.

*Piotr, Twój ojciec zginął zostawiając matce ogromny majątek. Miał sklep żelazny. Gdy umarł, Zdzisław Zielonka postanowił zdobyć wasz sklep. Dlatego został kochankiem Twojej matki. Ten pijak wciągnął ją w interesy, w których wszystko straciła, a jemu nie udało się zdobyć sklepu. Wystarczyły dwa lata, aby Twoja matka z zasobnej, pięknej kupcowej stała się biedaczką, która musiała się sprzedawać, aby jej dzieci miały co jeść. Zielonka nawet wtedy zabierał jej pieniądze i śmiał się, gdy płakała. Zawsze bogata i zadbaną, nie wytrzymała nędzy i upokorzenia, zwariowała i została dzieciobójczynią. Tylko ty przeżyłeś i dobrze pamiętasz, jak was wynoszono z mieszkania. Ty jeden byłeś przytomny. To, że jesteś teraz sam, że nie żyje twoja matka i siostra, zawdzięczasz Zdzisławowi Zielonce.*

*Pomścij zmarłych. To twój obowiązek.*

*Życzliwy*

Mieliśmy zabójcę Zielonki. Dla nas sprawa była skończona. Cisza pękła tak gwałtownie, że wszyscy się wzdrygnęli, gdy powiedziałem:

— Wychodzimy!

Przed domkiem Piotr odepchnął nagle idącego obok niego milicjanta i rzucił się do ucieczki. Patrzyliśmy, jak niepotrzebnie biegnie. Teren był otoczony. Biegł powoli, choć gwałtownie. Strzelajcie!... — krzyknął.

Biegł dalej.

— Strzelajcie wreszcie!... Potknął się o wystający korzeń. Upadł.

Podeszliśmy do niego. Wstał i poszedł z nami.

Od blisko półtorej godziny próbowaliśmy z Panienką i Płetwą dowiedzieć się czegokolwiek od Piotra. Do tej pory nie odpowiedział na żadne pytanie. Siedział nieruchomo, wyprostowany, patrzył w jeden punkt i

był poza nami. Sam ze sobą. Jednak jego upór nic już dla nas nie znaczył. Ponad wszelką wątpliwość był mordercą Zielonki. To nam wystarczało. Za dzień, dwa, tydzień lub miesiąc zacznie mówić. Tylko że wówczas nie my będziemy się nim zajmować. Nasza rola polega zawsze tylko na schwytaniu mordercy, zrobiliśmy to.

Nieoczekiwanie zdecydował Płetwa który wezwał dyżurnego.

—Wyprowadzić — polecił.

— Skończyliśmy — Panienska wyprostował się podchodząc do okna. — Chyba wreszcie mogę pójść do domu i spać, spać. spać..

—Znowu jesteś niepoprawnym marzycielem — powiedział Niania stając w' drzwiach. — Dwie godziny temu Docent odzyskał przytomność i medycyna pozwoliła mi z nim rozmawiać. Na pewno były to porachunki, bo koszmarnie boi się cokolwiek powiedzieć. Nawet jak się nazywa — usiadł zmęczony.

— Straciliśmy swój urok. a rutyna nas zabija, nikł nie chce z nami rozmawiać — odezwał się Panienska. Od jutra. Niania, trenuj uśmiechy przed lustrem.

— Czy poza tym jest coś nowego w sprawie Docenta? — chciałem się dowiedzieć.

—Zatrudniłem pół wydziału, ale najwcześniejsze meldunki mogą być dopiero jutro rano. Teraz stoję w miejscu.

—W takim razie Panienska nie jest takim marzycielem, Idziemy spać.,.

I jeszcze nie zdążyłem wstać z krzesła, gdy całej trójki nie było w pokoju.

Przypomniałem sobie przypowieści Wschodu, które czytał mi Adamiak. Nakręciłem telefon Anety. Była w domu.

— Podobno popełniam same błędy. Dlatego dzwonię...

— To przyjdź — i położyła słuchawkę.

## DZIEŃ SZÓSTY

Wiesia siedziała w pokoju — przeżyła już aresztowanie Piotrka. Jej milczenie przestało mu być potrzebne.

— Chciał, żebyście go zabili — mówiła o Piotrku. — Gdy wrócił od Zielonki, sam mi powiedział, że nie chce już żyć.

— Wiedziałaś o tym morderstwie? — spytałem.

—To nie było morderstwo, Piotrek nie chciał zabijać, pan tego i tak nigdy nie zrozumie. Po śmierci matki musiał wiedzieć wszystko. Opowiadał mi, jak w sierocińcu budził się i krzyczał, bo wydawało mu się, że umiera, jak koledzy się z niego śmieli. Chciał wiedzieć i dlatego cały czas szukał ludzi, którzy mogliby mu pomóc. On wcale nie lubił chodzić po knajpach i zadawać się z tymi... panienkami. Nie chciał handlować złotem. Tylko mi tłumaczył, że to jedyna droga... Ja mu w tym nie mogłam pomóc — poskarżyła się bezradnie.

—Gdy dostał list — poszedł się zemścić...

— Nie, on chciał, żeby Zielonka go przekonał, że tak nie było, Zielonka znał Piotrka tylko z widzenia i jak Piotrek powiedział mu, jak się nazywa, to zaczął krzyczeć i wyzywać go. Gdy Piotrek przeczytał mu ten list, to zaczął go wypychać z mieszkania i wołał, że nie pozwoli się zastraszyć, że wie, kto mógł napisać ten list i że Piotrek jest głupi, bo ten ktoś chce się na nim, to znaczy na Zielonce, w ten sposób zemścić i przez cały czas próbował wypchnąć Piotrka z mieszkania, i znowu krzyczał, że wszystko w tym liście to prawda i nie chce, aby mu ktoś przypominał tę zwiariowaną kurwę. I wtedy Piotrek go uderzył. Rozumie pan, po prostu uderzył.

— Mówił ci to wszystko?

—Tak — odrzekła machinalnie — i nie zwracając uwagi na pytanie mówiła dalej:

— Zielonka od razu upadł i Piotrek nie wiedział, co zrobić, próbował go cucić, nawet go polał wodą. Potem siedział przy nim, sam nie wie jak długo, a on się nie ruszał. I wtedy Piotrek już wiedział, że go zabił. Postanowił zabrać złoto, o którym słyszał od Ciućka, żeby wyglądało to na rabunek. I przyszedł do mnie. Płakał i mówił, że dla niego nie ma życia.

— Ale gdy nasi pracownicy byli tego dnia u ciebie. Piotrka już nie było?

—Nie było, bo wytłumaczyłam mu, że prawdziwym mordercą jest ten, co napisał do niego list i że musi go odnaleźć.

— Widziałas go jeszcze później? — zadałem to pytanie czując, że to nie wszystko.

— Przyszedł do mnie wtedy, jak pan nas widział na schodach. W ogóle nie chciał do mnie wejść, tylko powiedział, że dobrze zrobił, gdy wziął to złoto, bo część sprzedał, a jeszcze ktoś miał mi przynieść za nie pieniądze. I dał mi ten łańcuszek, co go panowie znaleźli, a resztę to powiedział, że wyrzuci. Już wiedział, jak odnaleźć tego człowieka, który napisał list. Kazał mi przyjechać dzisiaj nad świder do campingu i jeszcze powiedział, że jak go tam nie będzie, to żebym nie czekała.

Wieśka przez cały czas mówiła spokojnie, choć widać było, że coraz bardziej przeżywa swoją opowieść. Teraz skończyła. Milczeliśmy.

Adamiak, który tego dnia po południu przyszedł do komendy, sięgnął po moje papierosy, wysłał Nianię po kawę podwinął sobie rękawy i zaczął rozmawiać o trwających od kilku dni upałach. Jednak w tym, co robił, nie było wesołości i zwykłej nonszalancji.

—Słyszałem, że dostaliście Piotra. Sępy znalazły wreszcie swoją ofiarę — w jego głosie nie było zwykłej kpiny. — I co, jesteście szczęśliwi?

— Robimy swoją robotę. Nie my będziemy sądzić — zlekceważył go Płetwa.

— Dużo mu nie dadzą — pocieszył Niania. Adamiak patrzył na nas z powagą.

— Więcej, niż myślicie.

— Za co? — Niania znał prawo. — Za nieumyślne spowodowanie śmierci?

— Za to i za usiłowanie zabójstwa — odparował Adamiak.

Milczeliśmy chwilę.

— Jest tylko jedna możliwość: Docent — powiedziałem.

Adamiak nie był tym zachwycony.

— Tak — wstał z krzesła. Znalazłem sąsiadkę Kobzanów. Drugim sąsiadem był Docent. To on uratował Piotrka, to jego wsypał Zielonka i Docent poszedł siedzieć. Tylko on mógł napisać ten list.

— Będzie żył? — spytałem Nianię, który miał ostatnie wiadomości ze szpitala.

— Będzie — odrzekł Niania i wszystkim nam zrobiło się nieswojo.